

Powrót dziadów

Niebo w oddali przecięła długa świetlista rysa.

– Ot, i masz... – westchnął Tadyk. – Burzy się.

– Hę?

Jak na potwierdzenie słów chłopą rozległ się groźny pomruk grzmotu.

– Wiedziałem, że będzie coś z tych chmur.

– Wyciągamy – zawyrokował Tymon, wskazując sieć rozpiętą na rzece.

Trzej chłopci podnieśli się z ziemi, otrzepali z trawy.

– E, niebrzydki – stwierdził Jeremi. – Nawet szczupaczek jeden. Trza co rychlej wyławiać, bo mniejsze powyjada.

Rzeczywiście, w pułapce szarpał się długi na dwa lub trzy łokcie drapieźnik. Poza tym udało się złapać kilka mniejszych ryb, głównie płoci. Razem ze złowionymi wcześniej, a leżącymi w koszach na brzegu sztukami, chłopci mieli ich koło dwóch tuzinów.

– Na parę dni będzie.

– Licz na czterech – zauważył Tadyk. – Przecie jeszcześmy Baryle obiecali.

– Co jego to i nasze. – Jeremi uśmiechnął się.

Nastąpił kolejny błysk, a po nim grzmot.

– Bieguśkiem do wioski, zanim się rozpęta.

Las po obu stronach gościńca zaczął się przeredzać, w oddali można było dostrzec wysoki budynek – najpewniej karczmę – i dym unoszący się z jej komina. Za nią, niczym pisklaki gęsiego ustawione za kaczką, stało kilkanaście chałup.

Usłyszawszy grzmot gdzieś z tyłu, wędrowiec odwrócił się, spojrzął na niebo. W porównaniu z wolno sunącymi obłoczkami nad wioską, chmury za plecami wyglądały jak inkaust. Na samą myśl o burzy szalejącej wokół wsi uśmiechnął się. Żwawszym krokiem ruszył ku tawernie.

Wkroczywszy do sioła, przyjrzał się szyldowi karczmy skrzypiącemu niespokojnie na wietrze. Widniał na nim jakiś niewyraźny owalny kształt, prawdopodobnie beczka. Tylko nieliczne rozmowy i czasem szuranie drewnianych nóg stołków przerywały ciszę wewnątrz, co wskazywało na to, że w karczmie było niemal pusto.

Na nienowe już drzwi padło znowu światło błyskawicy. Wędrowiec pospiesznie wkroczył do środka.

– Kropi już... – mruknął Tadyk, poczuwszy, oprócz gwałtownego wiatru, małe krople na twarzy.

Minęli las, przechodzili akurat koło karczmy.

– Nie zdążym do domu, schronić się trzeba. – Tymon uśmiechnął się.

– Baryła musi już czeka na to, co mu należne. – Tadyk porozumiewawczo wskazał kosze.

Z radością i niejakim przyzwoleniem żywo wkroczyli do ogarniętego półmrokiem pomieszczenia. Powitali karczmarza, zasiedli przy stole niedaleko szynku.

Dopiero po kilku chwilach Tymon zauważył nieznanego siedzącego w najdalszym i najmroczniejszym kącie karczmy. Pozostali dostrzegli ponurą postać jeszcze później.

Przybysz siedział pochylony nad swoim kuflem, wzrokiem miotając po całej sali, rzucił nieprzyjazne spojrzenie ku chłopom, jakby niezadowolony z ich wesołości. Jego twarz pozostała w cieniu, błyszczące oczy były dwoma punktami otoczonymi przez mrok. Na sobie miał ciemny, długi płaszcz, u pasa wisiał kordzik umieszczony w pochwie.

Baryła podszedł do chłopów z trzema szklanicami złocistego trunku. Tymon pociągnął go za fartuch.

– Co to za jeden? – mruknął.

Baryła rozstawił piwo na ławie.

– A bo ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Przyszedł, tom go ugościł. Nie usłyszawszy więcej pytań, odszedł.

– Może by zagadać? – zaproponował szeptem Tadyk.

– A po co? – obruszył się Jeremi.

– E, nie trza zaczepiać – zawyrokował Tymon. – Tak się gapi na nas, jakby zabić chciał.

Zaczęli zjawiać się inni bywalcy karczmy, pochłaniając uwagę już obecnych. Choć nieznanomy zdawał się być jeszcze bardziej tym faktem poirytowany, nie wychodził z własnego kąta, co jakiś czas tylko wzywał Baryłę.

– Wedle zamówienia – rzekł szynkarz, stawiając przed przybyszem drewniany półmisek pełen parującej kaszy, drugi z wątróbką w smażonej cebuli.

– Karczmarzu – zaczepił tamten, nie podziękowawszy. – Macie jakąś drabinę na podorędziu? Chciałbym wejść na dach.

Baryła nie sądził, by plany tego osobliwego gościa wiązały się z czymkolwiek pożytecznym. Postanowił jednak ulec, żywiąc tylko nadzieję, że ów zrobi co swoje i pójdzie precz, nie czyniąc szkody.

– Znajdzie się. – Szynkarz podrapał się zdziwiony po głowie. – Długa ma być?

– Mówię przecież, żeby na dach wejść.

– O... Zgłóście się, panie, jak będziecie chcieli... To dam...

– Pokażcie ją.

– Teraz?

Nieznajomy spojrział, zachowując cierpliwość.

– Tak, teraz.

– Tedy... Chodźcie ze mną, panie.

Baryła nie ruszał się przez chwilę czekając, aż nieznajomy wstanie. W końcu poprowadził go ku wyjściu.

Usłyszeli przeciągły, radosny okrzyk.

– Pewno ku nam pan zmierzasz, prosim! – rzekł głośno do nieznajomego Tadyk. – Przysiadźże się!

– Idź precz – warknął tamten.

Chłop, mimo że podpity i siedzący przed chwilą tyłem, zdołał obrócić się i ucaścić obcego za płaszcz z brunatnej skóry.

– Rzeknę panu w sekrecie. – Nie wiedzieć kiedy popłakał się. – Tatko mój, jako i pan, podróżnym bywał. Razu pewnego nie powrócił do domu. Ot, przepadł, zaniknął gdzieś na szlaku! Będzie ze cztery wiosny temu, jak był wyruszył, rychły powrót obiecując.

– Won!

– Niechże pan się zatrzyma, bo też pana co złego w drodze spotka! Szkoda by było zaciepania osoby!

– Won, mówię! – wrzasnął nieznajomy, wrywając się z uścisku Tadka. Odszedł, wciąż słysząc żalony, pijacki płacz wieśniaka.

Wyszli z Baryłą na zewnątrz. Karczmarz dość niechętnie wychynął na deszcz, chcąc poprowadzić obcego do małej przybudówki. Rozmiękła ziemia zmieniła się w trudne do przebycia błoto. Ciżmy grzęzły i mlaskały.

Niebo rozświetlił blask pioruna. Potężniejszy od innych. Dość szybko przyszedł po nim grzmot. Obcemu od razu poprawił się humor.

– Ładna burza – przekrzyczał szum spadających kropeł deszczu.

– Ładna, ładna – burknął Baryła. – Właście lepiej ze mną, bo w was jeszcze łupnie!

Przybysz, zamiast się jednak pospieszyć, zaczął się rozglądać dookoła. Z kolejnym rozbłyskiem uśmiech spełził z jego twarzy; zaklął pod nosem.

W oddali zamajaczyła jasnoszara wieża maga.

– A ta wieża? – Pokazał ją Baryle. – Pusta?

Kulący się pod daszkiem karczmarz machnął ręką.

– Gdzież! Przecie to dom naszego pana czarownika. Stałego zresztą u mnie bywalca – rzekł dumny z możliwości goszczenia tak znacznej osobistości.

– Idźcie w cholerę! Z drogi!

– Ale przecie jego teraz... – zaczął Baryła, lecz kończyć nie było sensu, obcy odszedł. W ciemną noc, w deszcz i burzę.

Baryła wzruszył ramionami.

– Głupi...

Szedł, czy wręcz brodził przez rozmiękłe błoto. Zdawał się nie odczuwać lejącego nań deszczu.

A zapowiadało się tak obiecująco... Silna, niedaleka burza, o której zwykle można tylko pomarzyć, dostatecznie wysoki punkt, żeby wejść i schwytać piorun... Wystarczyłoby tylko rozstawić aparat i poczekać parę chwil...

Znów błysnęło, grzmotnęło potężnie.

Jak na złość, musiałem trafić na jednego z tych służalczych strażników.

Był w podłym nastroju. W proporcjonalnym wręcz do aury, ze złości gotów zabić.

Postanowił zrobić coś gorszego.

Wszyscy zdecydowali, że pozostaną w karczmie aż do zakończenia burzy. Wyszli jednak o wiele później. Tymon ruszył drogą pełną kolein wypełnionych wodą. Nim dowłókł się do własnej chałupy, ubabrał się w błocie po kolana. Nie zastanawiając się nad tym, ile godzin pozostało do świtu, uniósł skobel, opierając się o drzwi. Potknął się, gdy ustąpiły nagle pod jego ciężarem. Przymknął je za sobą, minął sień, wszedł do izby i rzucił się na siennik. Zasnął prawie natychmiast, popiwszy sobie zdrowo.

Tak zdrowo, że nie usłyszał głośnego wrzasku Tadka, zakłócającego wszechogarniającą nocną ciszę.

Na zewnątrz było już jasno, gdy Tymon leniwie rozkleił powieki. Przewrócił się na wznak z pomrukiem, mlasnął, popatrzył na powałę. Zamknął znów oczy, przedramieniem zakrył się przed światłem.

Nie wiedział, czy zdrzemnął się jeszcze kilka chwil, czy dłużej. Przeciągnąwszy się wstał, chwiejnym krokiem ruszył ku drzwiom frontowym i otworzył je. Znów zakrył twarz przed światłem słońca, któremu było już bliżej do zachodu, niż wschodu.

Omał nie przewrócił się o coś leżącego pod samymi drzwiami. Coś, co pod wpływem kopniaka poruszyło się, podniosło rozczochraną głowę.

Tymon uniósł brwi.

– Ech, Tadziu – westchnął. – Aż taki bałagan ci we łbie zrobiło?

Tadyk podrapał się po czuprynie, rozglądając wokół.

– Przysiągłbym, że dołąłem do domu – wymamrotał. – Coś mnie się chyba przyśniło... Ale zara... – Ożywił się nagle, podniósł z ziemi. – Przecież był w chałupie, niech skonam! Dziwności...

Postali chwilę, podumawszy.

– E. – Machnął w końcu ręką. – Nie ma co zawierać pijanemu.

Wracam.

Tymon bez słowa poczłapał za nim.

Dom Tadka stał w połowie odnogi biegnącej prostopadle do głównego gościńca. Mieszkał sam, odkąd jego ojciec zaginał na trakcie. Matkę coś zagryzło, gdy wraz z innymi babami poszła na jagody. Wiele lat temu, Tadyk był wtedy wciąż pacholęciem. Drugiej połówki chłop jeszcze sobie nie znalazł, wcale jednak nie wysiłał się, by ją znaleźć.

Droga do jego chałupy zajęła im trochę dłużej niż zwykle ze względu na mijane kałuże. Porozsiewane były po całej szerokości, szli więc, pilnie patrząc się w ziemię.

Tadyk wydał z siebie krótki okrzyk. Tymon uniósł wzrok.

Na ławce pod płótem siedział mężczyzna. Nie poruszał się, nie obrócił ku nim głowy, oczy miał jednak otwarte. Nosił ubranie typowe dla niebogatego kupca. Choć podarte i brudne, nie ono było najdziwniejsze, a ogólny stan tego człowieka. Miał gdzieniegdzie pozdzieraną skórę, z lewej dłoni zostały tylko kości pokryte przegniłym strzępem. Na głowie brzydkie rozcięcie – jakby od topora – sięgające mózgu dzieliło kępy włosów jak rów na łące.

Na widok siedzącego Tymon miał ochotę zwymiotować, Tadyk z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami wciąż gapił się na dziwnego przybysza.

Ów ocknął się, zupełnie jakby nadchodzący chłopci dopiero weszli w zasięg jego wzroku.

– Synuś! – krzyknął nie pasującym do jego stanu fizycznego, radosnym głosem. – Mówiłem, że w końcu zajadę!

Tadyk parę razy poruszył bezgłośnie ustami.

– Ja wiem, żeś długo nie wracał, ale to przecie wiadome w moim fachu. Wydłuży się droga gdy rozlewają rzeki, pełne zwierza bory i pełno zbójców na drodze. Właściwie... – Uśmiech na jego twarzy ustąpił wyrazowi zadumy. – Na owych chyba się natknął...

Zamyślony podrapał się po głowie, palce wcisnąwszy w szparę w mózgu. Tymon zapobiegawczo podszedł do krzaczka na uboczu. Cieszył się, że był wciąż na czczo i nie miał czym rzygać.

– Ale – Ojciec Tadka machnął ręką. – najważniejsze, że koniec końców jakoś ocalałem, a?

– Idźcie odpocząć deczko, panie! – rzekł Tymon, powstrzymując się przed spoglądaniem na podróżnika. – Pewności z mordowani po takim czasie poza domem.

– A, masz rację, młodzieńcze! Idę złożyć zmęczone kości.

Wstał powoli, przeszedł przez furtkę i poczłapał do chałupy Tadka. Jego krokom towarzyszyło obrzydliwe chrupanie gdzieś w nodze, na dźwięk którego Tymon zadrżał, a w trzewiach poczuł skurcz.

– Przecież mówił, że był w domu – upierał się Tadyk. – Tylko pewniem uciekł, zobaczywszy to... to...

– Trup – ogłosił Tymon.

Siedzieli w karczmie, gdzie, mimo wczesnej pory, zgromadził się mały tłumek chłopów.

W głowie Tymona kłębiły się niezliczone myśli, próbował zrozumieć coś z tego, co zobaczył. Jak żył nie widział, żeby trup się poruszał i rozmawiał. Ani nikogo żyjącego aż tak poranionego i... popsutego. Ongus obecnie we wsi nie przebywał, nie mogła to być więc żadna z jego sztuczek. Poza tym wolszebnik nie zwykł używać czarów dla zabicia nudy, jeszcze w tak niecny sposób.

– No trup – streścił myśli.

– A trup martwym być winien – dodał Jeremi.

O tym wiedzieli wszyscy, z tego też powodu niepokoił się. Jak zawsze, gdy znane im normy zostały naruszone.

– Czarownikowi trza będzie powiedzieć... – zaproponował ktoś rozwiązanie, które było panaceum na ich problemy.

– Gdzież – obruszył się Tymon – przecie wyjechał!

Towarzysze wybałuszili nań oczy.

– A gdzie?

– A co ja, jego służka? Skąd mam wiedzieć, jak nic nie mówił?

Chłopi zadumali się. Wyglądało na to, że musieli wymyślić coś sami.

– Niezałatwione sprawy pewno ma – podrzucił Pietrus. – Temu wrócił...

– Może ukradli mu co, jaki amulet... Utracił go, żywot swój poświęcając w jego obronie...

– Pewno, że ukradli – wtrącił Tymon poirytowany. – Pół łba mu zbójcy rozplatali, myśleli że z życzliwości innej zgrai cały dobytek ostawili?

Zamilkł naburmuszony. Co to za różnica, po co przyszedł? Ważne, jak można by go odesłać.

– Mówicie, że gotów z Tadkiem zamieszkać? – podjął Pietrus.

– A niech se mieszka, co będziecie podróznego wyganiać? – machnął ręką Jeremi.

– Zgłupiał? – wzdrygnął się Tadyk. – Zeżre mnie, jak tylko zasnę, sam na sam z nim w domu będąc! Po nocy w jednym kawałku nie ostanę się.

Tymon gwałtownie uniósł głowę.

– He, do tego dopuścić nie można – uśmiechnął się szeroko. – Jego trzeba rozczłonkować i zakopać, wtedy na pewno nie przylezie.

Zapadło chwilowe milczenie.

– Jak to tak? – podjął lekko Tadyk. – Własnego ojca?

– W takim razie jak wola – westchnął Tymon. – Zaniechajmy tego, mieszkajcie razem.

Na twarzy Tadka wymalowało się przerażenie. Bez względu na jego decyzję, bał się rezultatów. Wiadomo było jednak, na którą opcję w końcu przystanie.

Tymon zdumiał się, że oprócz niego, Tadka i Jeremiego udało mu się zebrać dość dużą grupę chętnych do zabijania trupa. Dopatrywać się w tym można było ich chęci rychłego zażegnania dziwnego problemu, albo po prostu zwykłej ciekawości. Kilkunastu uzbrojonych w widły i siekiery chłopów szło szeroko drogą, zmierzając do domu Tadka. Żaden z nich nie odważył się wysunąć przed Tymona.

Doszli pod płot. Tym razem nie zastali trupa siedzącego na ławce. Słyszeli jednak pomruki i jego głos dobiegający z wnętrza chałupy. Stali kilka chwil, nasłuchując.

– Siedzi... – szepnął Tymon. – Idź no, Tadziu, przyprowadź go...

Ów oddał swoją siekiere jednemu z kamratów, powoli podszedł do drzwi, uchylił je i wślizgnął się cicho do środka.

Chłopi usłyszeli głośny jęk. Wieśniak uciekł z wrzaskiem ze swej chałupy. Minął swoich, nie zważając na nic i uciekł.

Wieśniacy zaniepokojeni i zadziwieni spojrzeli na oddalającego się ziomka, przenieśli wzrok na jego domek.

Ze środka, z tym samym chrupaniem w nodze, wyszedł ojciec Tadka. Za nim wychynęło jeszcze kilka postaci. W jeszcze gorszym stanie, bardziej zaawansowanym stopniu rozkładu.

Chłopi rozbiegli się na wszystkie strony, porzucając swój oręż. Była mowa tylko o jednym trupie.

– Tatko... Mamcia z trzewiami na wierzchu... – wyliczał Tadyk.
– Dalej chyba był dziadzio i babcia, choć pewności nie mam, srogo ich czas potraktował... Reszty nie poznałem...

Szli we trzech lasem, usłuchawszy rady mieszkańców wioski, by znaleźć leśną babę, jedyną chyba osobę zdolną im pomóc pod nieobecność Ongusa.

Według słów jednej ze starowinek, by odnaleźć jej dom, trzeba było iść gościńcem, aż dojdzie się dróżki, przy której jedna przewrócona brzoza upadała na drugą, a na gałęzi grabu wisiał krowi czerep. Rzeczywiście, kilkadziesiąt minut marszu od sioła znaleźli rzeczone drzewa i zawieszoną na konarze, porośniętą mchem rogatą czaszkę oraz ściężynę. Zboczyli z gościńca.

Dróżka docierała do prymitywnego płotka, zbudowanego z gałęzi. Otaczał okrągłą chatkę, również z patyków, o kilku sążniach średnicy. Szałas opierał się na trzech pniach drzew, do których przywiązany był konopnymi powrozami. U spodu twarda glina tworzyła podmurówkę i chroniła domek przed zalaniem.

Chłopi weszli przez małą furtkę skleconą z badyli powiązanych sznurem. Zawahali się, zatrzymali przed drzwiami.

– Chodźta – szepnęła Tymon.

Wewnątrz nie było nikogo, mieli więc okazję rozejrzeć się po szałasie.

Na środku podłogi z ubitej ziemi znajdował się dół, w którym wciąż tlił się żar z ogniska. Mała strużka dymu, wijąc się niczym żmija, ulatywała ku dziurze w dachu z gałęzi. Leśna baba powiesiła na nich suche zioła, kostki i futra ze zwierząt, przeważnie zajęcy i wiewiórek. Na podłożu rozstawiła drewniane miski z różnorodnymi maziemi z zieleń, w jednym z kątów widocznie próbowała wyhodować coś sama – z rozkopanego kawałka ziemi wzrastały kielki długości palca. Naprzeciwko otworu wejściowego stało prymitywne łóżko z badyli zaścielone kupą podeschłych już liści.

– Chłop by się jej przydał – stwierdził Jeremi. – Pobudowałby jej chałupę jaką, miast mieszkać w takiej budzie.

– Ostatniego zjadłam – usłyszeli za plecami wysoki, skrzekliwy głos, na dźwięk którego podskoczyli ze strachu, nieomal przewracając się.

Chłopi odwrócili się, ujrzeni starowinkę, niższą od każdego z nich przynajmniej o głowę. Uśmiechała się do nich złośliwie, uwydatniając zmarszczki na całej twarzy oraz obnażając swoich kilka pozostałych zębów. Jej oczy żwawo omiatały ich spojrzeniem. Odziana była podobnie, jak baby w

wiosce – lniana, szara koszula, także spódnica i kraciasta chusta, spod której wystawały bujne kępy białej wręcz czupryny. Zaiste, pasowało do niej miano leśnej baby – gdzieniegdzie jej strój pokryty był ziemią i mchem, zupełnie jakby sama go na sobie hodowała.

Ciota, rozbawiona oniemiałymi chłopami, roześmiała się skrzeczeniem podobnym do kaszlu. Przeszła pomiędzy nimi, spychając bez skrępowania na boki.

– Na cóż to przyszły dzieci do starowinki, a? – zapytała, rozkładając na ziemi przyniesione lodygi jaskółczego ziela. Jej suche dłonie usmarowane były żółtym sokiem. – Dokuczają wam co? A może... wywaru jakiego trzeba... Na to dajmy, z serc zajęczych na śmiałość?

Zarechotała.

– No, mówcież, synkowie – zachęciła znów, nie usłyszawszy odpowiedzi. – Nigdyście nie widzieli staruchy?

– T... Trupy! – wydukał Tadyk.

– Co trupy? Chcecież się nimi stać, czy jak? Usłużę wam uprzejmie, jak mnie jeszcze trochę podenerwujecie.

Tymon postanowił szybko dać obraz ich sytuacji.

– Żywe trupy!

– Powinieneś być dodać to zaraz po koledze, synku – ukąsiła leśna baba. – Co i tak nie zmieniłoby tego, że wciąż nie wiem nic. Mówcież jaśniej!

Potrzeba było kilkunastu sekund ciszy. Dużych pokładów cierpliwości ze strony guślarki i skupienia chłopów, by wypowiedzieć istotę.

– Trupy... Ożyły i przyszły, czort wie jak i po co...

Leśna baba uniosła brwi.

– Ha, trzeba było tak od razu! – Żwawo podeszła do swoich zapasów na ziemi. – Może zaradzimy zarazie.

Wróciła znów do nich, między kciukiem a palcem wskazującym trzymając za skrzydło muchę.

– Powiedz, służko czarnej śmierci – rzekła niższym głosem, wypuszczając owada. – Co to będzie?

Mucha natychmiast wyfrunęła z pułapki. Zaczęła latać tak, że każdy, kto kiedykolwiek widział zwykłą muchę, uznałby to za dziwne. Podlatywała do każdego z nich, cofała się i znów wracała, jakby była uwiązana na niewidzialnym sznurku. Na końcu, jakby nie widząc żadnych przeszkód na

swej drodze, zaczęła odbijać się od ich twarzy. Uśmiechnięta leśna baba z łatwością złapała ją z powrotem.

– Z kurhanu wyszli na wierzch, chodzą znów po ziemi. Wrócą jeno k'niemu z rozkazu uwolnieni.

Zapadła długa cisza.

– Jak poprosicie tego, co te trupy nasłał, to może odejdą – wyjaśniła leśna baba. – Albo gagatka ubijecie, to i martwiaki padną.

Tymon spojrział na towarzyszy, spuścił wzrok, przestępując z nogi na nogę.

– Za przeproszeniem – wymruczał pod nosem. – Myśmy myśleli, że nam pani... leśna baba... pomoże...

– A co ja mogę, syneczku? – zachnęła się staruszka. – Głuche? Przecież mówiła, że jeno ten, co czar uczynił, odczynić go może.

– Chcielibm pomocy... Do kogo nam się uciec tera, jak Ongusa nie ma?

– A! – zaskrzeczała leśna baba. – Przyszliście do mnie tylko temu, że tego wielmożnego pana czarownika zbrakło? Tedy się pomęczcie, gagatki!

Rozeźliło to Tymona.

– Chodźta, chłopcy. – Odwrócił się do wyjścia. – Myśleliście, że starucha od wrzodów i spraw babich w czym by wam pomogła? Niedoczekanie wasze...

Odszedł, minął płotek, Tadyk z Jeremim jak cienie za nim.

Po kilku chwilach Tymon doszedł do wniosku, że być może za gwałtownie potraktował babinę. Zaniepokoił się, że za jego plecami wypowie jakąś klątwę.

Nic takiego jednak się nie stało.

– Może zaryglować ich w chałupie i podpalić? – podsunął Baryła.

– A może w karczmie? – oburzył się Tadyk.

Karczmarz zamilkł.

Siedzieli znów w kilkunastu w lokalu tego ostatniego, radząc znów.

– Baba mówiła, że tylko ten, co to je przysłał, może je odesłać, tak? – mruknął Tymon.

– Ano. – Tadyk jęknął żałośnie. – Gdyby tylko pan czarownik pośród nas był... Rach-ciach by jakoś temu zaradził, on się nie bawi w muchy...

– Ciekawym, kiedy wróci – rzekł Pietrus. – Mogłyby te trupy trochu przeczekać, aż przybędzie...

– Wąpierz krwią swych żywych wrogów się pożywają – odparł Jeremi. – Na kształt tych diabłów trupy jeszcze gotowe będą pożreć nas w międzyczasie!

– A co one, wraże nam?

– Chodźmy na ryby! – zaproponował Tymon, zaskoczywszy wszystkich tonem i treścią wypowiedzi.

Chłopi popatrzyli na niego, jak na obłąkane pacholę, igraszkami przeszkadzające dorosłym.

– Zgłupiał? – zapytał Jeremi. – A z trupami co się zrobi?

– Weźmy ich ze sobą! – odrzekł dziwnie spokojnie pomysłodawca.

Baryła się uśmiechnął.

– Mówże. – Spojrzał na Tymona z przymrużonymi oczami. – Co ci po łbie chodzi?

Następnego dnia, skoro świt, Tymon, wzięwszy sześciu chłopów do pomocy, udał się nad staw. Przy brzegu leżało kilka wielkich, przytarganych znad rzeki kamieni z przywiązanymi konopnymi sznurami. Tymon uznał, że dla niepoznaki powinni byli przynieść sieć rybacką, co zrobili.

Chłopi ujrzeli Tadzka nadbiegającego od strony wsi.

– I co? Idą? – zapytał Tymon.

– Ano – wydyszał Tadyk; zupełnie, jakby właśnie przed chwilą wyszedł spod wody, spędziwszy tam wcześniej kilka minut. – Wolno, ale idą.

– A sprawdzałeś?

Tadyk uśmiechnął się szeroko.

– Jakoś mówił, nic ich nie rusza! – zachwycił się. – Palnąłem tatka kułakiem od tyłu, nawet się nie obrócił. Innego kopnąłem w nogę. Padł aż, trochę zdziwiony, ale dojść nie mógł, czemu padł. – Na chwilę uśmiech zniknął mu z twarzy. – Chybam mu aż coś złamał, bo chrupnęło...

– Dobrze, odsapnij – rzekł Tymon zadowolony.

Odwrócił się do reszty towarzyszy.

– Słyszeliście. Nie ma się co strachać.

Ujrzał niepokój na ich twarzach i ukradkowe spojrzenia.

Między drzewami szły ku nim trupy. Po ich pokrzywionych, zniszczonych licach można było wysnuwać domysły, że przychodzą zabijać, a nie odpocząć nad wodą. Za wyjątkiem ojca Tacka, który miał permanentny, przyklejony jakby, uśmiech.

Tymon zdziwił się, że na łowienie ryb przystały również trupy kobiet. *Pewno aż tak im już czerwie czerepy przeżarły, tłumaczył sobie, że tylko słuchają i idą za innymi.*

Zliczył martwych. Ośmioro. Kamieni było nadto, ale któryś z chłopów musiał w takim razie zająć się dwoma umrzykami. Tymon odczekał, aż trupy zbliżyły się do brzegu i obszedł je tak, że nie patrzyły na wodę, lecz na niego; a przynajmniej odwróciły nań przegnite twarze. Chłopi ustawili się za nimi.

– A, powitać. – Tymon, trochę nieswój, kątem oka obserwował, jak żywi sielanie chwytają sznury i cichaczem podchodzą do ożywieńców.

– Dzięki, żeście, jak dobrzy sąsiedzi, raczyli nam potowarzyszyć w połowach. Pewno myślıta, czemu akuratno tu, nad stawem, nie nad naszą bystrą rzeczką?

– Ukradkiem spojrział na wieśniaka przywiązanego powróz do gołej kości, jedynej ocalałej części nogi trupa. Żywy wykrzywił twarz w obrzydzeniu.

– Ano temu, żeśmy chcieli pokazać ów co poniektórym. Wykopany w sumie niedawno, pewno jeszcze go nie widzieli. – *Do tego*, dodał w myślach Tymon, *a może zwłaszcza dlatego, że zatrutego trupim jadem stawu nie będzie szkoda tak, jak byłoby rzeki.*

– Wiem, że kiepawo łowi się na sieć w stawie – ciągnął Tymon.

Chłopi przywiązali już prawie wszystkich, został tylko ten przypadający jako dodatkowy. – Może i nie będzie z tej racji tak dużych połowów, jak niektóry by chciał, ale przecie nie tylko po tośmy tu przyszli!

Ostatni trup miał tak zgniłą nogę i spróchniałą kość, że sznur, zamiast zawiązać się na niej, z głośnym chrupnięciem przerznął ją na wskroś.

Zdziwiony umrzyk przewrócił się na kolejnego, lecz poza tymi dwoma żaden martwiak nawet tego nie spostrzegł. Tymon pospiesznie mrugnął do chłopów, ci powpychali trupy do stawu.

Z tymi stojącymi poszło im dość łatwo – nie stawiali nawet oporu. Zaraz za nimi chłopci wtaszczyli głowy. Został jeszcze ten ostatni, z urzęniętą kończyną – już z pewną ulgą zebrani sielanie spętali go okowami, dowiązali do kamienia i posłali do stawu za innymi ożywionymi.

– A wolszebnik – westchnął Tymon – niech już se z nimi radzi, jak mu tam tylko się uwidzi.

Podszedł do wciąż leżącego na ziemi obutego kawałka nogi. Podniósł, też rzucił do stawu. Skrzywił się, bo wypłynęła na powierzchnię i tak została, jak brunatny, śmierdzący pniak.

Jakiś czas później Tymon i dziadek siedzieli na ławce pod domem, gadali sobie o minionych zdarzeniach. Sielanie dość szybko oswoili się z myślą o trupach ze stawu. Tym szybciej, że, wedle wszelkich przewidywań, nie był to już ich problem.

– Po prawdzie, to człowiek ciekawy, jak to się temu panu kupcowi wiodło w podróży – stwierdził dziadek – i co go zmogło. Dawnośmy się z nim nie widzieli, może nie trza było go topić tak prędko?

– Dziadziu, czy cię Lelek odwiedzał? – zrugął go Tymon. – Przecie to trup, jak pozostali, złym jakim urokiem przywiedziony znów do życia!

– Złym, nie złym, człowiek chyba dalej ludzki. Nikt inny, jak tyś sam mówił, że nijakiej szkody, ani zagrożenia ów nie czyni, a gada jak i inni.

Tymon miał wiele wątpliwości co do wniosków wyciągniętych przez dziadzia. Sądził, że razem z ziomkami uczynił rzecz jak najbardziej słuszną i nie trzeba nic tłumaczyć. Może właśnie dlatego żadnego tłumaczenia wymyślić nie potrafił.

– Zresztą – ciągnął dziadzio burkliwie, spojrzawszy przed siebie. – Co mnie, jakby nawet i co zrobił? Kiedy jak nie tera, to i tak za niedługo bym się zabrał razem z nimi?

Tymon jak użądłony spojrział na dziadka, chcąc odpowiedzieć. Wstrzymał się, kątem oka dostrzegając postać idącą ku nim, do wioski. Podróżny był odziany w szarobury płaszcz, ubrudzony u dołu błotem. Na głowie miał zamszowy kapelusz z rondem, przez ramię przewiesił troki lnianego worka.

Tymon podniósł się, uśmiechnął, rozpoznając w przybyszu Ongusa.

– O – mruknął dziadzio, również dostrzegając wolszebnika.

– Opowiadaj, czarodzieju! – Tymon zagaił. – Gdzieżeś bywał?

Zapytany rozpromienił się, potem westchnął.

– Nie uwierzycie, jaki bardak...

Tymon roześmiał się, z rehotem dołączył dziadzio, wprawiając Ongusa w zdziwienie. Mogli go powitać tymi samymi słowami...

Orzechy z lichem luskane

– Cóż tam? Którego byś pan chciał? – zagaił dziadzio do przybyłego mężczyzny. Ów pogładził w zamyśleniu brodę, potupał parę razy.

– A ile pan za nie chcesz?

– A co pan masz?

– Trochu jabłek... Papierówki... – zaczął wyliczać tamten. – Wór owsa...

Siedzący na burcie kolasy staruszek zadumał się, próbując ustalić cenę.

Przyjechali – on i Tymon – na targ do pobliskiej osady Rakicice, by nieco przerzedzić swoją nazbyt liczną hodowlę królików, a przy okazji pozyskać trochę zapasów. Przed zaprzężonym w pożyczoną kobyłkę wózkiem rozłożyli klatki z inwentarzem. Było jeszcze dość wcześnie, więc na razie tylko dwie ustawili na powrót na deskach pojazdu, a jedną z nich udało się sprzedać wraz z zawartością. Obok pustych skrzynek stał już worek z ziemniakami oraz kosz suszonych grzybów – niby tych mieli jeszcze dużo, ale używali ich do przyrządzania pasztetu, a dali za nie tylko dwa króliki.

– Za kamień jabłek możem wam dać jednego samca i samiczkę – oznajmił dziadzio. – Albo trzy młode. Za wór zboża dwa razy tyle.

Kupiec cmoknął, znów się zamyślił.

– E. – Machnął ręką. – Na razie nie mam klatek ani obory przysposobionej... Kiedy indziej wezmę...

– Możem z klatkami sprzedać! – zachęcił Tymon. – Przecie puste stoją, coś się przedsięweźmie!

– Lepiej nie... Widzę, że słabo ustrojone – odrzekł znów tamten.

– Jakby lis czy pies chciał, w mig by je rozłupał i króle podusił... Innym razem...

– Obacz no, takiego, Tymonku – warknął dziadzio, gdy mężczyzna już odszedł. – Przyjdzie, będzie marudził nie wiadomo na co, przedsiębiorców obrazi, a nie zakupi nic... Pouczać nas chce, a powiadam ci, zna się taki, jak koza na pieprzu.

Tymon widział podobnych klientów wielokrotnie. Nie mogli się na nic zdecydować, szukając zachęty wokół siebie. A gdy już takąż otrzymali, jakby pod wpływem jakiejś tajemnej siły, rezygnowali z wszelkich propozycji i odchodzili, tym samym denerwując zapracowanych sprzedawców. Pośród tego tłumu, który przewijał się obok ich kramiku, chłop zauważał wiele typów

spożyców. Były dzieci, które wybiegały przed swoich rodziców i zaczepiały zwierzaki, wpychając palce w dziury klatek. Namawiały opiekunów na kupno, nieraz nawet wrzeszcząc i płacząc. Były panny i gospodynie, które zachwycały się króliczym puchem, a, zdawałoby się, nie obchodziły ich korzyści w postaci mięsa. Najprzyjemniejszym zjawiskiem byli ci, którzy z góry wiedzieli ile i czego chcą. Tacy, którzy tylko trochę targowali się o cenę, ale to tak bardziej dla przyjemności, niż ze skąpstwa. Zdarzali się też mężczyźni, którym nie za bardzo uśmiechało się ubijanie żywego stworzenia i prosili o martwe króliki, jednak Tymon z dziadziem na miejscu podobnych usług nie świadczyli.

Czasem z tłumu wychynał ktoś, kto, podobnie jak właściciele kramiku, zajmował się chowem królików. Choć byli to przecież konkurenci, to Tymon i dziadzio chętnie gościli owych hodowców, by czasem dowiedzieć się czegoś nowego, poznać jakiś przepis na danie z króliczego mięsa lub po prostu pogadać, jak znawcy ze znawcą. Również i teraz pojawił się jeden z takich specjalistów. Tymon od razu poznał znajomego handlarza, który podszedł w zadumie, a nawet zafrasowany wręcz. Odziany był w kozuch, na głowie miał czapkę z futra królika, wyglądającą jakby to siedziało jedno z jego zwierzątek. Spoglądając na ich inwentarz mocno pocierał kciukiem bujne wąsy.

– Powiedzcież, no – zaczął niepewnie, zwracając na siebie zaciekawione spojrzenia sprzedawców. – Nie zżera wam ich żadna zaraza, a?

– Wyplujże pan te słowa! – Dziadzio uniósł brwi. – Wyglądają ci one na trawione jakim tałatajstwem?

– Ech... Nie. – Tamten znów się zamyślił. – Dumam jeno czy, podobnie jak to u mnie się dzieje, nic ich nie zabija... Czy to zwierz jaki, czy inny czort?

– Nie przyuważylim niczego – zapewnił starszek. – A wnyki jakież pan stawiałeś? Albo pułapkę inszą, co by sam się udusił?

– A jużci, trzy noce pod rząd! A gdym z rana zachodził, wszystko, com przyrzadził, rozstrojone leżało!

– Cóż tu dumać? – Tymon wzruszył ramionami. – Przycząić się wam trzeba, albo lepiej nawet wziąć kogo do pomocy. Bo to nic, tylko złodziej grasuje!

– Takom też myślał, ale słuchajcież, panowie, czy złodziej martwe ścierwo pod samym chlewikiem ostawia?

– Dziwności... – mruknął dziadzio.

– Ano, cudaczna sprawa... – potwierdził zmartwiony hodowca. – No cóż, nie będę panom więcej opowieściami ponurymi spożywców straszyl...
Dobrego dnia!

– I takóž panu...

Wcale nieuspokojony mężczyzna oddalił się, pozostawiając ich dwóch w zadumie.

– A może licho jakie? – spróbował zgadnąć Tymon. – Taki leśny dziad...

– Gdzież, on by raczej króliki pozwalniał, miast ubijać...

– Pewno masz, dziadziu, słusność. Ciekawym, jak daleko ów od lasu mieszka... Bo przecie my też na samiutkim obrzeżu, jeszcze i do nas co przyjdzie...

Dziadzio zarechotał.

– Ty już wilka z lasu to nie wywołuj...

Rozbawiony trafnością porzekadła roześmiał się też Tymon.

Do sióła Wolszebniki wracali w dobrych nastrojach – udało im się sprzedać większość królików, wieźli więc niemało towaru. Co ciekawsze, znalazł się też ktoś, kto zapłacił miedziakami. Całą sumę dziadzio skrzętnie schował do sakiewki przytroczonej u pasa. Tymon, prowadząc kobyłkę ciągnącą kolasę, odwrócił wzrok, by popatrzeć jeszcze raz na rozmaitości zgromadzone na wózku. Worki z jabłkami, zbożem i warzywami, wiklinowe kosze z grzybami, ryby oraz inne dobra cieszyły oko. Na samym początku, tuż przy burcie, na jednej z pustych klatek przycupnął dziadzio i wpatrywał się w mijany las. Tymonowi staruszek podług tych wszystkich worków i pakunków wydał się nagle mały i słabiutki. Zdał sobie sprawę, jak bardzo ów jest stary. Posmutniał i odwrócił wzrok.

– Ech, pójdę z Baryłą ugadać, czy by nie chciał kupić czego – rzekł dziadzio, sapnąwszy z uciechą. Właśnie dojeżdżali do sióła. – Może i królików parę będzie chciał?

Tymon w odpowiedzi pokiwał z aprobatą głową.

– Do pójsia ze mną cię nie przymuszam – ciągnął staruszek. – Pewno byś znów do wolszebnika się wybrał, co?

Jasne, że chętnie by poszedł. Zwłaszcza teraz, gdy Ongus zaczął uczyć go nowych zaklęć. Tymon niepokoił się jednak, że być może dziadzio wciąż

nie jest przychylny jego studiom u czarodzieja. Młodzieniec próbował dosłyszeć w głosie dziadka jakąś nutę przekąsu czy dezaprobaty, ale wszystko wydawało się dziwnie przyjazne.

– Myślałem, żeś przeciwny mojej nauce – wyraził swe myśli ze zdziwieniem.

– Jużem ci mówił – mlasnął tamten – jak będziesz chodził, pracy nie zaniedbując, to przecie nic złego się nie będzie dziać.

– A podziękowałeś choć panu wolszebnikowi, że cię przyucza?

– zaskrzeczał znów staruszek po chwili milczenia. – Zapłatę jakąś wniosłeś?

Tymonowi nawet to nie przyszło do głowy. Ongus się nie dopominał, samo posiadanie ucznia uważał chyba za wystarczającą nagrodę, a dziadek, zdawałoby się, nigdy by na żadną zapłatę nie zezwolił.

– Ale przecie...

– Oj, Tymonku, nieprzystojnie dumasz – przerwał mu starszy. – Ze zwykłej wdzięczności byś mu ofiarował co, nawet jak nic nie mówi... Wstyd mi czasem za ciebie... Weź na ten przykład jeden wór z ziemniakami...

Młodzieniec wywnioskował, że staruszek musi być w dobrym nastroju – skąpy nie był, ale że chce tak wszystkich czymś obdarowywać?

– E, ziemniaków pewno on nie chce – odradził Tymon. – Dumam, że ciekawszymi rzeczami będzie chciał się zajmować, niż ich obieraniem.

– Wyobraził sobie siebie wnoszącego wór pyrów na samą górę klatki schodowej w wieży maga, a potem pewnie jeszcze na dół, do piwnicy. Był to główny powód, dla którego chciał wybrać coś innego.

– Weź tedy kosz orzechów, może będzie chciał sobie połuskać...

– doradził dziadzio. Orzechy były o wiele lżejsze, ta opcja Tymonowi bardziej odpowiadała.

Staruszek uśmiechnął się.

– Poopowiadaj, no, czegoż cię tam pan wolszebnik uczy? – poprosił.

– Umiesz już co czarować?

Młodzieniec burknął coś niezrozumiałego, wzruszył ramionami. Starął się na razie uniknąć odpowiadania na to pytanie.

– Hę? Co mówisz? – nie poddawał się dziadek.

– Oj, coś tam umiem... – bąknął Tymon. – Ale mniemam, że nie na tyle dobrze, żeby się tym zaraz przechwalać...

Staruszek mruknął z zaciekawieniem.

Młody uczeń maga rzeczywiście umiał już uczynić parę zaklęć tak dobrze, że rzucanie ich tu i teraz nie powinno mu sprawić problemów. Nie wyzbył się jednak strachu przed tym, że wypowiadanie czarów na własne widzimisię może po prostu zaszkodzić, jemu samemu lub otoczeniu. Jak dotąd jego kontakt z magią miał głównie nieprzyjemne skutki.

Tymon wspinał się po stopniach klatki schodowej wieży maga radując się w duchu, że zamiast worka z ziemniakami wybrał koszyk z orzechami. Wychynął przez klapę w podłodze. Ongus krzątał się po pomieszczeniu.

– Dobry – rzekł głośno Tymon. – Orzechy przyniesłem.

– Orzechy? – Czarodziej przystanął, nie kryjąc zdziwienia. – A na cóż mi one? – dodał, uprzedzając chłopca, który już chciał obdarzyć go kąśliwą uwagą na temat jego słuchu.

– O to samo zapytałem dziadka. Powiedział, że będziesz chciał sobie połuskać.

– Skoro tak mówi, to połuskam. – Ongus wzruszył ramionami.

– Postaw, no je tutaj, później zniosę do piwnicy.

– A więc – zaczął znów wolszebnik, gdy chłop wykonał polecenie – dzisiaj powtórzymy zaklęcia, które już znasz. Jak ci dobrze pójdzie, to może nauczę cię czegoś nowego. W przeciwnym razie poczytamy coś z teorii.

Tymonowi z niepokoju ścisnęły się trzewia – od czytania w dużych ilościach wciąż bolała go głowa, wołał tego uniknąć.

– Przypomnisz sobie jakieś zaklęcia bez podpowiadania?

Chłopu w mig, podświadomie wręcz, przyszło na myśl jedno. To, przez które napytał sobie tyle biedy, ale i zatriumfował.

– Voleo fluggi – powiedział, myśląc o lataniu i o niebie. Chwilę później sam unosił się nad ziemią. – Voleo stagra – dodał zadowolony z siebie, opadając na powrót na podłogę. Tego drugiego sam się nauczył, właściwie trochę z konieczności. Kątem oka dostrzegł rozbawienie na twarzy Ongusa.

Tymon myślał dalej. Wolszebnik uczył go jeszcze trzech formuł, ale przypominał sobie tylko jedną, pozwalającą na stanie się bezbarwnym jak woda.

– Prosecorpa – powiedział, nie zastanawiając się zbyt długo.

Zauważył, jak jego ciało stało się przejrzyste. A przynajmniej prawie całe ciało, poza szkieletem.

– Kości są twardszym tworem – wyjaśnił czarodziej. – Musisz bardziej się skupić, żeby ich też nie było widać. Pomyśleć o czymś to jedno, ale wyrzucić wpływ na materii jest już trudniej. Swoją drogą, jest to dobre zaklęcie, jeśli chcesz się ukryć, a nie potrafisz jeszcze stać się niewidzialnym. Co jeszcze?

To by było na tyle, pomyślał Tymon patrząc, jak Ongus za pomocą czarów przywraca jego ciału zwykły wygląd. Chłop nie potrafił przypomnieć sobie pełnej formuły pozostałych zaklęć.

– No, przypomnij sobie... Jak wydłużyłbyś sobie ramiona, gdybyś, na przykład, czegoś nie mógł osiągnąć? – Tymonowi coś świtało w głowie, miał frazę na końcu języka. Ongus postanowił mu nieco dopomóc. – *Croso...*

– *Croso rama!* – palnął chłop i poczuł, że sztywnieją mu ramiona. Był zadowolony, że mu się udało, ale tylko przez chwilę: oto zobaczył, jak zamiast rąk wyrastały mu teraz dwie gałęzie, a w miejscu palców miał krótkie odrośle pokryte liśćmi.

Czarodziej wybuchnął głośnym śmiechem.

– Właśnie wymyśliłeś świetne rozwiązanie, gdybyś nie miał akuratno nic do jedzenia, a czułbyś się głodny. Wystarczy się zmienić w drzewo, liście cię same nakarmią! – wysapał, ocierając łzy. – Ale pięknie wyglądasz, niech skonam. Teraz tylko zmienić resztę w śniegowe kule i będzie zacy bałwan.

Tymon nie odparł nic. Stał naburmuszony, w milczeniu czekając, aż czarodziej skończy się naśmiewać i go odczaruje, co nareszcie uczynił.

– *G'woli ściśłości to jest croso arma* – wytłumaczył wciąż uśmiechnięty Ongus. – Następnym razem nie wypowiadaj zaklęcia, jeśli nie masz pewności, czy zrobisz to tak, jak trzeba. Sam widzisz, jaki może być efekt.

Tymon poruszył palcami, jakby upewniając się, że są na miejscu.

– Zostało jeszcze jedno – podjął znów czarodziej.

Chłop pamiętał. Owo ostatnie zaklęcie służyło do wzniesienia światła, przywoływania snopa iskier. Wysunął nawet rękę, tak jak nakazywał wcześniej Ongus, by czar przez przypadek nie spowodował oparzeń, czy innych nieprzyjemności.

– *Mici...* – odpowiedział mag.

– *Mici lumi!* – przypomniało się nagle Tymonowi. Był pewien, że właśnie tak brzmiała formuła. Wypadek z poprzednim zaklęciem kazał mu się

jednak zawahać. Z ręki wystrzeliło tylko parę słabych, szybko zgasłych iskierek.

– I znowu – skomentował Ongus. – Jeślibyś skupił się bardziej, czar miałby większą moc. Przydatne zakłęcie, gdy w nocy czegoś szukasz lub po prostu chcesz oślepić kogoś przebywającego w ciemności – dodał.

– O, racja. Przydałoby się na złodzieja – zauważył chłop, przypominając sobie nagle o sprzedawcy królików i jego osobliwym problemie.

– Jakiegoż znowu złodzieja? – zainteresował się Ongus.

– A, taki jeden na targu mi i dziadziowi wspominał... – bąknął Tymon.

– Zresztą, nie ma co dumać, bo to pewno wcale nie złodziej...

– Jakże to? To złodziej czy nie złodziej? Mówże jaśniej!

Chłop zastanowił się, wydał lekko wargi.

– Musi to być człowiek... Kupiec nam wspominał, że coś mu króliki zatracą, a zρέcznie wszelkich pułapek unika... Ale cóż za cel w tym, skoro truchła na miejscu ostawia?

Ongus uniósł brwi, jeszcze bardziej zaciekawiony. Przeszedł parę razy w milczeniu po pokoju.

– Powinieneś być wyczulony na podobne, nietypowe sytuacje. To może się okazać ciekawą zagadką – rzekł po chwili, kiwając palcem.

Tymon nie odparł nic, postanowił zaczekać, aż nauczyciel powie coś jeszcze na ten temat.

– Rozwiązywanie takich niecodziennych problemów ludności i ewentualnie łapanie złoczyńców to właściwie nasze zadanie, jako magów-strażników – wyjaśnił czarodziej chwilę później. – Gdzie mieszka ten hodowca?

– Nieopodal Rakicic, w siole Lichowólka – odparł Tymon, podrapawszy się w zamyśleniu po głowie. – Dokładnie nie wiem gdzie, bom nigdy u niego nie był. Ale dziadzio co innego, on by trafił, możesz go zapytać.

– Oj, to już nie będzie konieczne, jakoś trafimy, przepytamy kogoś na miejscu.

– Jak to?

– Ano tak to – Ongus się uśmiechnął. – Szykuj się na małą wyprawę.

Do Lichowólki dotarli po południu. Do zapadnięcia zmroku pozostało wciąż dużo czasu, jednak niekoniecznie wystarczająco na tyle, aby przeprowadzić zapowiedziany przez Ongusa wywiad w siole.

– Warto by wy badać, czy to tylko jego kłopot – tłumaczył czarodziej. – A może ktoś jeszcze podzieli się swoimi nieprzyjemnymi doświadczeniami? Albo, choć w tym raczej nie pokładam nadziei, sam szkodnika widział?

– Jeszcze tylko kilka rad – rzekł Ongus, nim wkroczyli do sioła. – Nie musisz nieustannie używać czarów, których cię uczył. Powinieneś jednak próbować wyobrazić sobie, jakie zaklęcia i w jaki sposób mogą się przydać w spotykających cię okolicznościach. Nigdy nie wiadomo, być może będzie to najlepsze z możliwych rozwiązań.

– Po drugie: bądź miły dla wieśniaków i w ogóle dla innych. To, że umiesz posługiwać się czarami, nie powinno zaniżać twojego osądu o ludziach. Właściwie z tym raczej nie powinieneś mieć kłopotów, co? Przecież jeszcze jesteś jednym z chłopów, podobnie jak i ja niegdyś.

Tymona lekko zadziwiły słowa nauczyciela. Uniósł brwi, postanawiając go kiedyś o to zapytać.

– Na razie chyba tyle z moich rad – podsumował Ongus, uniósłszy wzrok. – Jeśli coś jeszcze mi się przypomni, będę ci mówił na bieżąco. A jeśli ty masz jakies pytania, to też się nie wahaj.

Pierwszych mieszkańców Lichowólki napotkali już na samym początku – pod płótem okalającym pierwszą z chat dostrzegli trójkę gaworzących wieśniaków. Dwójka z nich, para w podeszłym wieku, siedziała na ławce. Mężczyzna był gruby i wysoki zarazem. Kobieta obok wyglądała na niższą i nieco szczuplejszą, na głowie miała chustę. Stojący obok, sprawiający wrażenie młodszego, chudy chłop jedną ręką trzymał się sztachety płotu, drugą podparł bok.

Cała trójka zamilkła, gdy tylko spostrzegli zbliżających się mężczyzn. Zaczęli wpatrywać się w nich z grymasami na twarzach, wyrażającymi zainteresowanie.

– Mistrzostwo konspiracji – mruknął Ongus, zażenowany ich poczynaniami. – Dzień dobry! – powitał trójkę, gdy się już doń z Tymonem zbliżył.

Wieśniacy, ze zmrużonymi oczami wciąż gapiąc się na przybyłych, wolno pokiwali w odpowiedzi głowami.

– Szukamy chałupy tutejszego, który sprzedaje regularnie króliki na targu w Rakiticach – wyjaśnił czarodziej. – Radzi bylibyśmy, gdybyście wskazali nam doń drogę.

– Znaleźć jego dom nietrudno. – Rozmowę podjął gruby staruszek, siedzący na ławce. – A co od niego chcą? Być to może, że Pyrosław popadł w jakieś zatargi niemile?

– Nic z tych rzeczy! – Wolszebnik unióśł dłonie. – Słyszeliśmy, że nęka go jakieś nieznanne lichy.

– A, tedyśmy bardzo radzi! Nie on jeden jest nękany. Dobrze, żeście przybyli. Oczywiście, jeżeli tylko coś zaradzicie.

– Mówcie, co wiecie, każda poszlaka się przyda.

– O, panie, nie samo poszlaka! – wykrzyknął staruszek. – Samem widział onego stwora na własne oczy! I wiedzie, że w jednym macie rację: to najprawdziwsze lichy nas dręczy! Musi leśny dziad nachodzi, nie mogą wybaczyć biednym sielanom, że zwierza na pożywienie hodują. Ale przecie co nam innego robić? Chyba jeno z głodu pomrzeć, to by go snadnie zadowolilo!

– Jak wyglądał? – przerwał mu Ongus.

– Hyh... Jak lichy! – burknął tamten. – Garbaty, mały, brzydki, z brody sobie odzienie uplótł, a jak mi po chlewiku łąził, to sapał i rzeził, jakby się dusił. Właściwie... – staruszek skrzywił się, podrapał się po głowie. – Na dobrą sprawę to chyba był borowy, nie leśny dziadek...

– Co też gadacie? – wtrącił młodszy chłop, stojący przy płocie.

– Przecie to jeden i ten sam!

– A gdzie tam! Leśny dziad drzewami się zajmuje, a borowy nad wszelkim zwierzem ima pieczę!

– A niby jak ich rozróżnić?

– Pierwy członki ma długie, żeby mu wygodnie było po drzewach łązić i martwe gałązki podcinać. A ten drugi szeroki jest i barczysty, żeby żaden dzik czy zając go z człkiem nie pomylił i uciekać nie musiał.

Młodszy chłop burknął coś i zamilkł. Po jego twarzy widać było jednak, że chętnie wyłożyłby starcowi, co w borze piszczy, ale pewnie uznał, że nie warto, nie przegadałby go, a jeszcze pewnie od młokosów byłby wyzwany.

– Takież to lichy – podsumował starzec. – Jednakowoż, gdyby panowie chcieli jeszcze Pyrosława wypytać, znajdą jego dom nieopodal, drugi zaraz za łączką i drogą w bok odwodzącą.

– Dzięki za świadectwo – rzekł Ongus, chcąc widocznie odejść od chłopów. – Przyda się, postaramy się znaleźć i złapać lichu.

– A, pomyślności – pożyczył starszy. – Ale mniemam, że tak łatwo może nie pójść. Myślą panowie, że to takie nic, zacząć się i lichu złapać? Jakby tak było, każdy głupi potrafiłby także uczynić. Człek nic by wtedy nie robił, tylko licha łapał.

– Zobaczmy – odparł Ongus z uśmiechem i odeszli od trójki przy płocie. – Pamiętasz, com ci mówił, że raczej nie zakładam, żeby ktokolwiek widział szkodnika? – zapytał Tymona, oddalwszy się nieco.

– Ano.

– Obstawę przy tym. Prędzej uwierzę, że króliki we wsi prowadzą ze sobą wzajem wojnę i się same zarzynają, niż on widział jakiegoś gajowego.

– Przecie sam poświadczył! Nawet mówił, jak wygląda!

– Dajże spokój... A przy tym miałyby się zastanawiać nad szczegółami? Nie, powiadam ci jeszcze raz, nic nie widział.

– Tedy, jak dotąd, tylko miejsca zamieszkania królikarza się dowiedzieliśmy?

– Niekoniecznie – Ongus się uśmiechnął.

– Czegóż więc? – Tymon był już nieco poddenerwowany ciągłymi zaprzeczeniami towarzysza. Nie mógł wyłożyć wszystkiego naraz?

– Oto kolejna rada. – Mag uniósł palec. – Od ludzi może nic nie dowiesz się o istocie, ale o cechach prawie zawsze.

Młodzieniec nastroszył brwi w zdziwieniu.

– Najpewniej nie był to żaden gajowy, borowy, czy inny leśny dziad – wyjaśnił mu czarodziej – ale być może chłop rzeczywiście się na szkodnika natknął. Bojąc się jednak, zza węgła przysłuchiwał się, co ów robi. Stąd wywnioskował, że rzezi i sapie. Albo założył, że widział coś, ale tylko z daleka. Może więc twierdzić, jakoby to coś na dwóch nogach, resztę sobie dopowiedział. Ale czemu wykluczać od razu najzwyczajszego złodzieja?

Tymon z uznaniem pokiwał wolno głową.

– Cóż dumać, nie wysłuchawszy wszystkiego? – Mag machnął ręką. – Chodźmy do tego hodowcy, on przecież ma kłopot już od paru dni, to i pewnie wie więcej.

Chłop znów przytaknął.

– Ach, dzięki, panie Tymonie, żeś pan towarzysza przyprowadził i że pomoc chcecie. – Gdy tylko handlarz zauważył znajomego, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Proszę, oto gdzie trzymam króliki, wejrzyjcie. – Poprowadził ich do małego chlewiku. Z wnętrza wydostawał się silny zapach siana i króliczego łajna. Przybyli nie zauważyli niczego podejrzanego. Poza śladami krwi na ziemi oraz na klatkach.

– Szkodnika dzieło? – wskazał je palcem Ongus.

– Po części i owszem – odparł posłusznie gospodarz. – Ale tutaj też samemu zwierzaki ubijam.

– Jasne – czarodziej pokiwał ze zrozumieniem głową. – Co o całej sprawie sądzicie? Widzieliście co?

Zapytany zadumał się, cmoknął głośno z miną znawcy.

– Musi zwierz niejaki – zawyrokował. – Ale co dokładnie, pojęcia nie mam.

– Jak to? – wtrącił Tymon. – Przecie sam pan mówiłeś, że zwierz to być nie może, bo zręcznie wszelakich pułapek unikał!

– Ano zręcznie, widać umna bestia...

– Inni we wsi mówili, że to lichy, bo jako człek, na dwóch nogach stoi – podsunął Ongus.

– Nawet zwierz musiał stanąć, jak chciał do wieka klatki sięgnąć – obstawał przy swoim chłop.

– Czemu pan tego zwierza się trzymasz, skoro dlań żadnego oparcia nie masz?

– A mam – odrzekł Tymonowi chłop. – Jednej nocy takim warki i wiski słyszał, że tylko między zwierzęty musiała się rozgrywać potyczka. I wierzaj pan, żadnego ludzkiego odgłosu nie było. Zrazu myślałem, że to może mój Burek na złodzieja ujada, ale gdzież, niecnota nawet przed co większymi kocurami ucieka, a muchy nie potrafi złapać... Mówię tedy, co mi się zdaje: nic to innego, tylko zwierz jaki groźny, o!

Dwaj tropiący postali jeszcze chwilę. Rozglądali się po szopie, próbując dostrzec coś jeszcze, choć małą dodatkową wskazówkę. Znów jednak nic to nie dało.

– Właściwie – hodowca stracił już cierpliwość, przerwał milczenie – cóż panowie chcą przedsięwziąć?

– Najpierw się zaczymy – wyjaśnił Ongus – żeby wiedzieć, przeciwko czemu mamy cokolwiek przedsiębrać. A potem, zależnie od wyniku,

zastosujemy odpowiedni sposób. Dziś starczy już nam wywiadu – zwrócił się do Tymona. – Zmierzcha już i musimy zacząć działać z tym, co już wiemy. Lepiej iść się już przygotowywać.

Jak ocenił Ongus, zbiornik na siano ulokowany na strychu obory był najlepszym miejscem pokazanym przez gospodarza, skąd mogli obserwować królikarnię. Położony naprzeciwko chlewiku budynek dawał możliwość wglądu do jego środka, gdyby tylko drzwi doń pozostawić uchylone.

Tam więc legli na pożyczonej od Pyrosława kapie i obserwowali jego podwórko ze sporządzonego tuż pod spadzistym gontowym dachem otworu, przez który wrzucano siano do środka.

Leżeli dopiero niespełna dwie godziny, co można było poznać po ruchu księżycy na niebie, ale Tymonowi czas ten zdawał się o wiele dłuższy. Nie sądził, że w czasie podobnej wyprawy można się aż tak nudzić. Dla zabicia czasu próbował, zgodnie z radą nauczyciela, wymyślać sposoby użycia magii w tym momencie. Ale, szczerze mówiąc, za dużo nie było do dumania, czary po prostu nie były teraz do niczego potrzebne. Zaczął więc wybiegać myślami naprzód i zastanawiać się, co można zrobić, gdy już pojawi się intruz. Mógłby na przykład, choć to nic nie wniosłoby do ich śledztwa, po prostu wystraszyć szkodnika snopem iskier. Ciekawszym czarem, jak uznał, byłoby wzniesienie się w powietrzu, a potem wylądowanie na dachu chlewika. Stamtąd, dodatkowo stając się przezroczystym, zauważyłby o wiele więcej. Zajrzałby do środka i chwycił za kark złodzieja wydłużonym z pomocą kolejnego zaklęcia ramieniem.

– Nie śpij! – szturchnął go Ongus.

– Nie śpię! – odszepnął chłop.

– Dobrze. Pamiętaj, że dziś tylko obserwujemy. Lepiej na razie nie reagować. No, chyba że to coś lub ktoś zacznie wyrzynać naszemu gospodarzowi cały inwentarz.

– A ty jak myślisz? To coś czy ktoś?

– Wolę nie mówić, póki nie zobaczę. Relacje były tak rozbieżne, że to może być wszystko, nawet smok.

– Nie wywołuj wilka z lasu.

– Wilk mógłby być. Zwykle, poczciwe zwierzę, zostawiające jeszcze zwyklesze ślady. Kłopotu by z takim nie było, paru wieśniaków by sobie z

nim poradziło, a co tu wspominać o nas. Ale wiesz co? To nie wilk. To by było zbyt proste.

Tymon nie potrafił rozpoznać, czy słowa wolszebnika były żartem, czy też wyrazem irytacji lub jeszcze czegoś innego. Na wszelki wypadek postanowił się na razie zamknąć i pogрузić w nudzie.

Ta jednak nie trwała długo.

Chwilę później usłyszeli warczenie. Z głębi podwórka, od strony przejścia na pole, coś nadbiegało. I nie była to, co ze zdziwieniem zobaczyli, jedna sylwetka, ale kilka podobnych istot, co najmniej pół tuzina. Bure, wielkości kota lub lisa, od razu podbiegły do królikarni. Widząc, że drzwi są zamknięte, a podkopu nie sposób zrobić, istoty zaczęły napierać na nie pazurami. Nie minęło dużo czasu, nim wyrwały sobie dziurę w drewnie zbrojonym żelazną, poprzeczną listwą.

– Co to, na nieprzebyte mateczniki, jest? – szepnął Ongus przerażony, zastanawiając się, czy deski w drzwiach do szopy nie były spróchniałe.

– K... króliki – odparł równie cicho Tymon.

– Nie kwestionuję twojej wiedzy hodowcy, na pewno wiesz więcej ode mnie, ale... widziałeś ty kiedy królika? Chcesz mi może wmówić, że to jakiś drapieżny gatunek?

– Diabelski raczej...

Tymczasem bestie wskoczyły przez wystarczająco już dużą dziurę do środka. Rozległo się głośne warczenie i piski.

– No dobra – rzekł z wahaniem czarodziej. – Z tą króliczą wojną to ja żartowałem...

– Przecież nieboszczyka by to obudziło... Co robimy?

– Jak już mówiłem, na razie nic. Nie jesteśmy przygotowani. Nie na to – Ongus pokręcił wolno głową.

Znów zrobiło się trochę ciszej. Poczwały wyleciały na zewnątrz. Ich futra w wielu miejscach znaczyły ślady krwi.

– Wiem, co myślisz – czarodziej znów odezwał się do Tymona, który wytrzeszczył oczy w przerażeniu – ale coś ci powiem. Część tych plam była stara, co mnie jeszcze bardziej martwi i potwierdza niektóre przypuszczenia.

Chłop natomiast nie przypuszczał nic. Bojąc się, że to, co przed chwilą wybiegło z królikarni usłyszy jego myśli i się nań rzuci. Gapił się tylko na bestie, które uszły tą samą drogą, którą przybyły.

Usłyszeli świerszcze, gdzieś zaśpiewał skowronek. Ta zmiana zdawała się Tymonowi obelgą rzuconą przeciwko temu, co właśnie się wydarzyło dosłownie pod ich nosami. Chłop zastanawiał się przez moment, czy dopiero co nie obudził się z koszmaru.

– Dobra, schodzimy. – Ongus pozbawił go złudzeń. – Trzeba sprawdzić, co zaszło.

– A nie było słyhać? Chcesz żeby powróciły i nas też rozczłonkowały?

– Oj, daj spokój. Już się rozbiegły.

Stanęli pod drzwiami królikarni na dole. Zajrzeli przez nie do środka, Ongus za pomocą zaklęcia utworzył świetlistą kulę, która zawisła w powietrzu i rozjaśniła mrok. W szopie rozległ się gwałtowny tupot. Zobaczyli przerażone zwierzaki, które starały ukryć się po kątach, rozdygotane i z przeraźliwie szybkimi oddechami. Dwie z klatek miały zerwane wieka, truchła wcześniej zamkniętych w nich królików leżały bez ruchu na ziemi.

– Nie podoba mi się to...

– Ano – westchnął Tymon. – Bez pardonu je zagryzły.

– Właśnie rzecz w tym, że nie do końca... Zauważ, że ich tak mocno nie pokiereszowały, o ile w ogóle można dzielić śmierć inwentarza na mniej i bardziej gwałtowną. Prawie wcale ran, krwi tyle co w okolicy ugryzień... Jakby im zależało, żeby ich ofiary padły jak najszybciej.

– Zwierzę to nie sadysta – powątpiewał chłop. – Jak już zaczniesz się bić, to chce jak najszybciej skończyć.

Ongus w zamyśleniu pokręcił głową.

– Wszystkie poduszone, padły od ugryzień w kark... – Cmoknął.

– Zresztą, nie w mówisz mi chyba, że to były zwykłe zwierzęta.

Tymon zamilkł, nie mogąc zaprzeczyć. Przyglądał się króliczym truchłom, naliczył ich osiem. *Może i racja to, pomyślał, nielatwa sprawa, że wszystkie jednakie rany otrzymały.*

– Dziwności... – podsumował własne myśli.

– No nic, nie ma co tu sterczeć i medytować, chodźmy się zdrzemnąć parę godzin i przygotować na kolejną noc.

– Jak im zaradzimy?

Czarodziej zgasił świetlistą kulę, z pochyloną głową wyszedł na zewnątrz, uniósł wzrok na rozgwieżdżone niebo.

– Jak to na wojnie – odparł. – Zbrojnie...

– Nie mamy kuszy czy innej wyrzutni, więc strzelaniem z tej amunicji zajmę się ja. Za to do rzucania kamieniami żadnej magii nie potrzeba.

Siedzieli przed domem hodowcy królików przygotowując się do nocnej obrony. Czarodziej ostrzył nożem znalezione wcześniej w lesie patyki. Tymon miał ze swoją bronią znacznie mniej frasunku – zabrał trochę kamieni ze stosu usypanego przez gospodarza, który gromadził je tam przy oraniu pola. Młodzieniec szybko uwinął się też z transportem swojej amunicji do kryjówek.

– Pomóż mi z tymi patykami – mruknął Ongus. – I tak się nudzisz.

– Ja już swoją część oporządziłem – odpysknął chłop. – Jeszcze od nadmiaru odcisków się nabawię.

Czarodziej przerwał struganie. Spojrzał nań, nastroszywszy brwi. Nie powiedział nic, bo brak mu było słów na bezczelność ucznia. Nie były one jednak potrzebne – Tymon pod wpływem srogiego spojrzenia spuścił wzrok, mruknął coś o nożu i zniknął wewnątrz chaty.

Powrócił wraz z Pyrosławem.

– Ach, panowie już się szykują – stwierdził gospodarz. – Tedy... Te zdechłe króliki, coście kazali zostawić, leżą na przynętę dla tych bestii, a?

– A skąd! Też byście chcieli, dajmy na to, zamiast ryby łowić, padliną wyrzuconą na brzeg się zadawalać?

– Ach, zniosę jeszcze dzień... Dłużej to musi nie potrwać, prawda?

– Któż to wie? – Odpowiedzi czarodzieja były jak kubły z zimną wodą, gaszące iskierki nadziei, które gospodarz wciąż próbował wzniecić.

– Niepodobna zgadnąć, ile tych bestii i czy są one jedynym zagrożeniem.

– Tedy nie ma co się łudzić, że mi coś po tych napaściach ostanie się.

– Z każdym kolejnym słowem głos hodowcy stawał się coraz bardziej płaczliwy. – Widzi mi się, że będziesz miał więcej spożywców, gdy odejdziesz z interesu, panie Tymonie.

– No co też pan... – Tymona, nie wiedzieć czemu, zaniepokoiły te słowa. Zupełnie jakby gospodarz mówił o swoim odejściu ze świata. – Przecie to króliki, nie krowy! Starczy że parę panu z całej hecy żywo wyjdzie, a po roku możesz mieć pan ich dziesięciokroć!

Gospodarz ożywił się. Bynajmniej nie z powodu usłyszanych słów pocieszenia.

– A może by tak trochę ich w domu ulokować na noc czy dwie?

– Owszem, można – przytaknął Ongus – ale musisz się pan liczyć z tym, że bestie wtedy i tam mogą zajrzeć.

Królikarz machnął ręką sfrustrowany i wszedł do chałupy. Oczywiście, wolał już stracić całą hodowlę, niż przystać na przedstawioną przez czarodzieja możliwość.

– Nie lepiej byłoby zakłębem zaostrzyć? – zmienił temat Tymon.

– Ciężko ci?

– Nie, ale nie szybciej by było?

– Może i trochę. A masz co innego do roboty?

Tymon mruknął tylko.

– To siedź i strugaj.

Zamilkł na jakiś czas.

– Mówiłem ci, żebyś myślał, jak wykorzystywać zakłęcia – podjął znów – ale te, które znasz – przerwał pracę, w zamyśleniu spojrzął na trzymany w rękę patyk. – Jak już o tym wspomniałeś, to przydatniej byłoby zmienić wszystkie czubki w żelazne. Ale – wrócił do strugania – przecież to króliki, a nie zastęp zbrojny w kolczugi. Choć właściwie... Może to i lepiej by było?

Ukrywszy się nad oborą po raz drugi, bynajmniej nie narzekali na senność. Skutecznie powstrzymywało ich już samo myślenie o nadchodzącej potyczce. Kamień ślizgał się w mokrej od potu ręce Tymona.

– Nie śpij – mruknął z uśmiechem Ongus. – Bo cię obudzę jednym z tych kamieni.

Chłop odrzucił pocisk, wytarł dłonie o koszulę, sięgnął po inny.

– A jak się poznają, że strzelamy?

– Wtedy albo zaczną uciekać, albo będą próbować tu wejść. A niech próbują.

– Takiś chrobry? A jak cię rozedrą?

– Nie przezywaj... To nie koty, tylko króliki, nie wleżą tak wysoko. Zresztą... – Czarodziej uniósł się na łokciu, splunął na ziemię, wpatrując się w tor lotu płwociny. – Co się tak boisz? Każdego zwierza da się rozplatać, wszystko jedno czy wściekły, czy nie.

– Może i da się, jak masz coś sposobnego ku temu... Winszuję powodzenia z kamieniami i patykami.

Pochłonięci rozmową nieomal nie dostrzegli postaci zbliżającej się od tej samej strony, co wcześniej drapieżne króliki. Uciszyli się czym prędzej i jęli obserwować. Nie mieli wątpliwości – była to sylwetka kogoś lub czegoś poruszającego się na dwóch nogach. Niepodobna było jednak dostrzec więcej szczegółów przy takim świetle – a raczej jego braku – i odległości.

– Gospodarz z pola wraca? – zasugerował Tymon.

– Po nocy? Zresztą, przecież przestrzeżony, co mu po zmroku na podwórko przylatuje, nie odważyłby się.

– A może to to licho, o którym mówili tamci?

Czarodziej nie odpowiedział, pokręcił tylko głową i cmoknął cicho.

Widać, uważał ten pomysł za mało prawdopodobny.

Nieświadom tego, że jest obserwowany, przybysz zbliżył się do królikarni. Omiótszy okolicę pobieżnym spojrzeniem, otworzył powoli zniszczone drzwi.

Ongus, nie wiedząc czemu, wciągnął głośno powietrze, uniósł się z posłania.

– Wal w niego, póki nie zbraknie kamieni – nakazał, z pomocą zaklęcia wystrzeliwując tymczasem pierwszą strzałę.

Zaostrzony patyk uderzył w deskę obok dłoni nieznanego i upadł na ziemię. Tymon, jakby nie mając pewności, czy dobrze zrozumiał rozkaz, poszedł dość nieśmiało w ślady nauczyciela, ale już po chwili ciskał kamieniami z całą zażartością, na jaką go było stać. Większość pocisków trafiała w drzwi lub ściany, czyniąc tylko hałas.

Ostrzeliwany nie zamierzał bynajmniej dać się zabić. Ku przerażeniu chłopca odpowiedział świetlistymi kulami buzującej energii elektrycznej. Pierwsza z nich poleciała prędko w stronę schowka na zboże, po uniku dwóch atakujących uderzyła i osmaliła powałę. Kątem oka Tymon spojrzał na Ongusa, również ciskającego strzałami. Z pewnością nie były to już zwykłe patyki – błyszczały teraz, a wręcz jarzyły się czerwonym blaskiem. Czarodziej wściekle jął miotać po dwa i więcej pocisków, a gdy mu się skończyły, strzelał kulami podobnymi do kul tamtego, ale czerwonymi i trochę wolniejszymi.

Jednak to zwykły kamień rzucony przez Tymona dosięgnął głowy przybysza, wystającej zza jeszcze bardziej zniszczonych drzwi. Obcy zniknął im z oczu gdy, zatoczywszy się, upadł do środka. Zamarli w bezruchu. Chłop w połowie zamachu, Ongus w trakcie przygotowywania kolejnej kuli, która teraz gasła mu na dłoni.

– Na dół. Raz – rzucił czarodziej.

Tymon posłusznie ściągnął schowaną za ich plecami drabinę, zeszli po niej. Dobiegłszy do drzwi królikarni, Ongus dopadł do nieprzytomnego.

– Czemu kazałeś strzelać? – odezwał się młodzieniec.

Zapytany bez słowa obrócił leżącego na brzuchu przybysza. Palcem wskazał na wiszący mu u pasa długi na piędź metalowy drąg, na końcu którego umocowana była mała sfera ustrojona z drucianej siatki. Konstrukcja żarzyła się białym światłem, co jakiś czas wewnątrz pojawiała się mała błyskawica.

Tymon głośno wciągnął powietrze. Jednak powodem tego nie była dziwna różdżka.

– To... Znam go. – Pokazywał twarz nieprzytomnego.

Ongus spojrział na ucznia zaskoczony. Chłop już nieznanego spotkał, ale z początku nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Chwilę później wiedział.

– To ta szuja ożywiła ojca Tadka! – wykrzyknął, jakby sam nie dowierzając.

Czarodziejowi lico pojaśniało w uśmiechu. Rzekłbyś bardziej, aniżeli księżycowi w pełni.

– No – rzucił wesoło – to, zdaje się, mamy dwie pieczenie na jednym ogniu! Idźże, no, do Pyrosława. Widzi mi się, że potrzebna nam będzie jego kolasa.

Choć narzekał i kręcił nosem, królikarz zgodził się użyzyć wózka. Był tym bardziej niezadowolony, że obudzili go w środku nocy, jeszcze na długo przed świtaniem. Szybko jednak spokorniał usłyszawszy, że przecież to nie przybyszy problem, pomagać mu nie muszą, że jak chce to on sam może się hultajem zajmować.

Hodowca nie miał jednak żadnej, najlichszej nawet szkapiny, a nie godziło się rozbudzać jeszcze sąsiadów. Ongus z Tymonem ciągnęli więc wózek własnoręcznie, ów z tej, drugi z innej strony. Przed podróżą czarodziej dodatkowo jeszcze – chłop nie wnikał jakim sposobem – uspił nieprzytomnego złoczyńcę.

– Nie zbudzi się? – zapytał Tymon, obejrawszy się przez ramię.

– Nie ma takiej siły – odparł czarodziej. – Dopiero jutro koło wieczora.

Uspokojony chłop popatrzył na las, przez który właśnie przejeżdżali. Znów nagle ogarnął go niepokój.

– A co z tymi ścierwami? Przecie ich nie zabiliśmy, dalej będą przyłazić!

– Dobrze powiedziane, bo to rzeczywiście były królicze ścierwa ożywione przez tego tu. Napadały dlatego, że im kazał, tak jak wczoraj. Dziś z kolei chciał ożywić kolejne truchła. Jak zabraknie tego, co rozkazuje, jego sługi zaczną zachowywać się na tyle normalnie, na ile takie maskary potrafią. Większość z nich najpewniej zdechnie.

Tymon zadumał się. Wielu rzeczy wciąż nie pojmował.

– Będzie świtać – oznajmił, wskazawszy głową lunę na wschodzie. Chciał dowiedzieć się od czarodzieja wiele, potrzebował jednak chwili na wymyślenie jakiegoś sensownego pytania.

Ongus skinął głową.

– Trochę nam to zajęło. – Przetarł dłonią zmęczoną twarz. – Trzeba się w końcu trochę przespać, musimy tylko przypilnować naszego więźnia. Spętać go porządnie, żeby kolejnej hecy nie działał.

– A co z trupami ze stawu? – przypomniał sobie Tymon.

– Przymusimy go, żeby cofnął zakłęcie – wzruszył ramionami Ongus.

– Pomęczymy go dotąd, aż zrobi, co chcemy.

Chłop w zamyśleniu spuścił wzrok. Chwilę później uniósł z powrotem głowę.

– Mógł z nimi zrobić to, co z królikami? – zapytał przerażony. – Kazać im nas zarzynać?

– Mógł – zgodził się Ongus. – Mieliście szczęście, zwłaszcza że akurat nie było mnie w pobliżu.

Tymon nawet nie chciał sobie wyobrażać, co by się stało, gdyby do tego doszło.

– Na co to wszystko? – zapytał znów, uspokoiwszy się nieco.

– Znaczą... te trupy, króliki...

– Złośliwość... – Ongus wzruszył ramionami. – Może przerost ambicji albo niedorost rozumu... Zrozum ty maniaków...

Tymon pomyślał, że mimo wszelkich szkód, jakie nieznamy wyrządził, chyba nie chciałby się na nim mścić albo zanadto go karać.

– Leśna baba, gdyśmy byli u niej po radę, mówiła że tylko ten, co trupy zaczarował, czar również zdjąć może – oznajmił. – A jak już odczyni, co wtedy? Co z nim zrobimy?

– O, puścić wolno go na pewno nie możemy. Gotów znowu komuś szkodzić. Zamkniemy go w lochach mojej wieży, w przygotowanej celi, póki ktoś po niego nie przyjedzie i nie zawiezie do prawdziwego więzienia.

– A jak nie będzie chciał cofnąć czaru?

– Zapewne ciota mówiła wam o jeszcze jednym rozwiązaniu.

Tymon zwiesił ponuro głowę, skinął lekko. Owszem, mówiła. Innym sposobem na usunięcie czaru było zabicie osoby, która go rzuciła.

– Jeśli do tego dojdzie, to tylko w ostateczności – uspokoił chłopą czarodziej. – Musiałby być strasznie uparty, żeby chcieć własnej śmierci. Albo głupi.

Tymon nie odpowiedział. Nie był do końca pewien, co mogło popchać przybysza do tego, co zrobił. Niepokoił się tylko, czy ten sam afekt nie doprowadzi do jego zguby.

Ongus pochylony badał nieprzytomnego czarownika, uprzednio z Tymonem ułożywszy go na masywnej ławie i przywiązawszy doń.

Czarodziej przyniósł dużą strzykawkę o niepokojąco grubej igle i, ku przerażeniu swego ucznia, wbił ją w ramię śpiącego. Wtłoczył nieprzytomnemu gęstą, szarą zawartość, po czym wyciągnął aparat.

– Nie obudzi się jeszcze przez parę godzin – oznajmił. – Jeśli chcesz, możesz iść przespać się na moim sienniku. Ja zdrzemnę się tu na dole, na wypadek gdyby wstał wcześniej.

Ongusa obudził krzyk.

– Ej, wstawaj, łachu! – był to więzień, który prawdopodobnie zbudził się przed kilkoma chwilami. – Uwolnij mnie!

– Już, lecę, pędzę! – zaśmiał się czarodziej w głos, unosząc się ze swego legowiska.

– Parszywy tchórz! Wypuść mnie, to ci pokażę! Stawaj do walki!

– Cóż to? Czemu się złościsz, kwiatuszku? – Ongus świetnie się bawił.

– Walka już się odbyła, nie pamiętasz? Pozwól, że ci przypomnę: przegrałeś.

Nieznajomy zamilkł na chwilę. Przymknął oczy, na powrót otworzył i zaklął cicho.

– A właśnie, mocy też cię pozbawiłem – rzekł wesoło wolszebnik.

– Chyba nie sądziłeś, że złapał cię byle kmiot, co? Nie bój nic, pomyślałem o wszystkim.

– Czego chcesz?

– Chyba się domyślasz. – Ongus odwrócił głowę, usłyszawszy kroki. To Tymon, którego zbudziła głośnie rozmowa, zszedł do nich na dół. – Dziwię się, że byłeś taki głupi, żeby pozostać w okolicy i dalej szkodzić. I po co to właściwie? Z zemsty na jakichś chłopach? Szczyt ambicji...

Więziony stęknął głośno, jakby z bólem. Znowu zamknął oczy. Być może zbierał myśli albo chciał po prostu odpocząć.

– Co ty ode mnie chcesz? – sapnął. – Aż tak się w tej swołoczy zakochałeś? – dodał, nie otrzymawszy odpowiedzi. Chyba tylko pełne zażenowania spojrzenie Ongusa.

– Pozwól, że ci to wszystko wyłożę – rzekł twardo czarodziej po kilku chwilach milczenia, w czasie których Tymon przestawał czuć współczucie dla ladaco leżącego na ławie. – Tak, czy siak, doprowadzę do cofnięcia czaru. O puszczeniu cię wolno nawet nie oplaca ci się marzyć. Za kilka dni przyjedzie ktoś, kto zabierze cię i przewiezie do stosownego więzienia. Tylko od ciebie zależy, czy tej wizyty dożyjesz.

– I do głupiego zdjęcia czaru potrzebowałeś mnie? – zadrwił więzień – Aż tak niezbędny z ciebie magik?

– Żartujesz chyba! – zachnął się Ongus. – Miałbym marnować siły na utrzymywanie kolejnego zaklęcia? Za dużo zachodu, jak na tymczasowe rozwiązanie. Zresztą, równie dobrze poradzili sobie z problemem tutejsi sielanie.

– A co, przyjęli trupy pod swoje dachy?

Tymon obdarzył czarownika nieprzyjaznym spojrzeniem, ów jednak nic sobie z tego nie robił.

– Zatopili je w stawie, obciążywszy kamieniami – skorygował Ongus.

– Pomysłowo – przyznał przybysz i znów zamknął oczy. Po raz kolejny nastąpiło milczenie.

– Wiesz, że musiałbyś przywrócić mi moc, żebym mógł zrobić, co chcesz?

– Wiem.

– Zapytam wprost: aż taki naiwny jesteś sądząc, że nie spróbuję ucieczki lub czegoś innego?

– Raczej pewny siebie. Nie wydaje mi się, byś był w stanie mnie zaskoczyć.

Więzień zaśmiał się krótko.

– Nie znasz mnie i nie wiesz, co potrafię – skomentował. – Jednakos naiwny.

– A to się zaraz zobaczy – rzucił wesoło Ongus, odwracając się. – Leż i nigdzie nie idź, zaraz wrócę.

Spętany westchnął z bezsilności. Popatrzył na chwilę na powałę i zaczął rozglądać się na tyle, na ile pozwalał mu żelazny kołnierz na szyi. Spojrzał na Tymona tak, jakby ów dopiero co się pojawił.

– A ty kto? – zapytał z nutą pogardy. – Ichni niewolnik?

Chłop nie odpowiedział. Zamiast tego przypomniał sobie zbrodnie leżącego. Ożywione króliki dało się jakoś ścierpieć, bo uczynione przez nie szkody były właściwie niewielkie. Ale jaki szubrawiec ożywia zmarłych, pozbawiając ich należytego spoczynku?

– Ej, umiesz mówić?

– Zawrzyj gębę, padalcu – wycedził Tymon rozedrganym głosem.

– Oho, pyskatyś! Pewno cię staruch na swoją modłę wyćwiczył, co?

Chłop podszedł do leżącego i wymierzył mu policzek.

– Tymon, spokój! – nakazał stanowczo Ongus. Właśnie wrócił. – Na dobrą sprawę to go trochę rozumiem – zwrócił się do czarownika wesoło, podchodząc doń. W rękę dzierżył małą flaszeczkę z czerwonego szkła. – Od samego wzglądu na twoją gębę kułak się zwija i zaczyna świerzbic. No, masz, pij.

Więzień uniósł nieco głowę, otworzył usta i jął pić, siorbiąc głośno. Poczwszy smak mikstury, skrzywił się. Nie, żeby była specjalnie ohydna, ale, jak sądził Ongus, raczej dlatego, że się ów domyślił. Było już jednak za późno.

– Coś mi podał?! – skrzeknął spętany.

– Tego ci powiedzieć nie mogę – odparł uprzejmie czarodziej. – Mogę ci za to rzec, że nie jest to nic przywracającego moc, ale to już pewnie wiesz. Mogę wyjawic, że po jakimś czasie umrzesz, choć tego, po jakim, też ci nie powiem, żebyś nie mógł się domyślić, jakiego potrzebujesz antidotum. Sam ci je podam, jak cofniesz zaklęcie. A jak nie... Cóż, i tak wygaśnie. Tak, czy siak, wyjdzie na moje – zakończył czarodziej, rozkładając ręce.

Więzién zaczął głośno sapać. Nie ze strachu, lecz z gniewu, jak zauważył Tymon. Poczzerwieniał na twarzy i ściągnął wargi.

– Oj, nie radzę. – Czarodziej pokręcił lekko głową. – Złość sprawia, że krew krąży ci szybciej, a to skraca twój czas.

Przywiązany milczał dalej, ochłonął nieco.

– Myślę, że się dogadamy – Ongus wyjął z kieszeni koszuli kolejną flaszę.

– Znowu trucizna?

– Nie bądź taki zgryźliwy, musiałem się jakoś upewnić, że mnie nie wykiwasz. Zwłaszcza, że sam o tym wspominałeś. Gdybyś nic nie mówił, może byłbym w stanie łatwiej ci zaufać, ale cóż, sam sobie wykopałeś ten dołek. No, już, otwieraj buzię, hyc-hyc!

Tymon zastanawiał się, jak duże pokłady cierpliwości ma nieznajomy. Ciekawiło go, czy długo jeszcze ów wytrzyma Ongusa przemawiającego jak do nierozgarniętego pacholęcia. On byłby już wybuchnął.

– I pamiętaj, gagatku – ostrzegł Ongus, przybrawszy surowszy ton.

– Nie jestem osłabiony przez truciznę, moje fale mózgowe też się mają dobrze, w przeciwieństwie do twoich. Nie próbuj niczego, bo tobie najbardziej zależy na twoim życiu.

Leżący pokornie wypił zawartość fiołki. Zamknął na chwilę oczy.

– Już – spojrzał znów na Ongusa. – Jak chciałeś, martwi są martwymi, a królicze ścierwa leżą bez ruchu.

– Tymon, idź nad staw – polecił chłopu czarodziej. – Weź kogoś do pomocy, wyciągnijcie któregoś topielca, upewnijcie się, czy ten tu mówi prawdę.

Tymon skinął głową i ruszył szybko schodami na górę. Był podekscytowany, że najprawdopodobniej skończył się ich koszmar.

– Co rzeczesz, Tymonie? Jakże to? – Tadyk, którego Tymon wziął do pomocy, nie dowierzał. – Pewnyś, że tatko i inni pokoju dostąpili?

– Podobno. Idziem właśnie sprawdzić – odparł chłop. Uważał, że właśnie Tadyka winien był poprosić o pomoc. Wszak to kilku jego przodków zostało ożywionych. – Capnęłam z wolszebnikiem tego, co tę biesią sprawę zdziałał. Tak go Ongus przycisnął, że niby coś tam odczynił.

Dotarli nad staw. Wysoko stojące na niebie słońce odbijało się w pozieleniałej wodzie, która już z daleka cuchnęła zgnilizną.

– Uch, najwyższa pora – skrzywił się Tadyk. – Bo jeszcze trochu, to się na całe opole rozniesie i nie tylko ci tutaj będą martwi.

– Zdzierzym – odparł Tymon, zanurzwszy w wodzie długi, przyniesiony przezeń bosak. Już po chwili natrafił na jeden ze sznurków.
– Dawaj, wyciągamy.

Tadyk dołączył się, schwycił długi kij, po czym obaj jęli ciągnąć. Zadanie było o tyle trudniejsze, że do jednego końca liny przywiązany był trup, a do drugiego spoczywający na dnie stawu głaz.

Chłopi skrzywili się jeszcze bardziej, gdy tylko kawałek gnijących zwłok pojawił się na powierzchni, a smród dopadł ich z jeszcze większą mocą.

Powstrzymując obrzydzenie, Tymon spojrzał na trupa.

– Zgadza się, bardziej martwy być nie może – wysapał. – Wrzucamy z powrotem. A ja lecę wolszebnika zawiadomić; trzeba będzie ich, jak ludzi, w kurhanie pochować.

Ongus zajrzał przez kratowany otwór w drzwiach celi. Zainteresował go więzień, przykuty teraz kajdanami do ściany. Kto go tego wszystkiego nauczył? Czy był aż taki głupi albo znudzony, żeby wyprawiać podobne niedorzeczności?

Ciekawość zwyciężyła. Czarodziej przekręcił klucz w zamku i uchylił drzwi. Leżący na drewnianej ławce i odwrócony tyłem więzień uniósł głowę, nie zmieniając pozycji. Obrócił ją w miarę możliwości.

– To skąd ty się właściwie wzięłeś, co? – zagaił Ongus. Na twarzy leżącego zdumienie znów ustąpiło znudzeniu, z powrotem odwrócił się do ściany.

– A na co ci to wiedzieć? – dobiegł wolszebnika lekko stłumiony głos.
– W tyłu miejscach zabawiałem, że już zaciera mi się w pamięci to, które mógłbym nazwać domem.

– Skąd pomysł na podobną hecę?

– Powiedzmy, że z nudów – odparł więzień tonem, który jakoby potwierdzał treść wypowiedzi. – Wierzaj mi, nie pierwszy to mój raz, jak siedzę w lochu po zbyt dobrym, zdaniem niektórych, ubawie. Także i teraz nie

żałuję, w końcu mnie wezmą i wypuszczą albo sam ucieknę, jeden kij, będzie jeszcze zabawniej...

Ongus cmoknął, pokręcił głową na te słowa. Nie zgadzał się z tokiem myślenia więźnia, ale jakoś nie potrafił znaleźć konkretnego kontrargumentu.

Nie miał zresztą zbyt dużo czasu do namysłu – jego uszu dobiegł dźwięk powracającego Tymona.

– Martwi? – zapytał go.

Ów pokiwał głową.

Ongus wyszedł z celi, wrócił niosąc fiolkę i szklanekę wypełnioną białą cieczą.

– Pij. – Podał więźniowi szklanicę.

Spętany siadł na pryczy, stęknął, wziął naczynie. Wypiwszy zawartość mlasnął skrzywiony. – Mleko – stwierdził beznamiętnie.

– Antidotum na wiele trucizn – potwierdził czarodziej. – W tym na tę, którą ci podałem. A teraz to – odkorkował buteleczkę.

Tymon doszedł do wniosku, gdy więzień pił szary, gęsty płyn, że na jego miejscu poprosiłby w końcu o coś do jedzenia po tylu toastach.

Poczekawszy, aż aresztant skończy, Ongus zabrał odeń puste naczynka, bez słowa wyszedł z chłopem z celi, zamknął drzwi.

– Niechaj siedzi – westchnął z ulgą. – Musimy czekać, aż ktoś po niego przyjedzie. Choć mam wrażenie, że zobaczymy go jeszcze nie raz.

– Jak dla mnie to mógłby i szczeznąć w tym lochu...

– Oho, a tobie czym tak za skórę zalazł?

– Każdemu chyba zalazł.

– Człowiek to więcej, niż tylko to, co widzisz – rzekł czarodziej. – Nie bronię go, ale, jak dotąd, nie znamy właściwie jego pobudek.

Tymon machnął tylko ręką, nie znalazłszy odpowiedzi.

– Musim te trupy pochować – zmienił temat. – A weź tu pochowaj, kiedy cuchną, nim nawet ze stawu ich wyciągnąć... Z tym także problem, tak się rozpadły od wody i rozkładu...

– Trzeba będzie się zarzucić.

Chłop z uznaniem pokiwał wolno głową.

– A jak więzień będzie chciał czarów znowu użyć? – wystraszył się Tymon. – Na złość zrobić, jako uprzednio?

– Ten siwy, gęsty płyn, który wypił, na powrót pozbawił go mocy – uspokoił go wolszebnik. – Przystanie działać dopiero za kilka godzin.

– A potem? Jak już nie będzie zatruty i nie zgodzi się przyjąć następnej dawki?

Czarodziej uśmiechnął się kącikiem ust, podszedł do stojaka z ustawionym nań rzędem identycznych butelczyn o przejrzystej, zielonkawej zawartości. Wziął jedną.

– A, chodź, to ci pokażę – zachęcił.

Podeszli do krat w drzwiach celi. Więzień, wciąż siedząc na pryczy, zaczął przyglądać się im z zainteresowaniem.

Ongus rzucił do środka fiolkę, rozbijając ją o ścianę. Zawartość utworzyła obłoczek mgły, na widok którego nieznajomy podniósł się. Chciał uciec, jednak, ograniczony ścianami i kajdanami, za bardzo nie miał dokąd. Po chwili padł nieprzytomny.

– W takim stanie raczej nie będzie sprawiał kłopotów.

Tres potentes contra plures

Na targu w Podlełowicach jak zwykle tłoczno było od sprzedawców, spożywców i takich, którzy obie te role wypełniali równocześnie – nosząc oferowany przez siebie towar na ramieniu czy pod pachą lub też prowadząc zwierzęta. W odróżnieniu od chcących wymienić kozę czy prosię, posiadacze drobniejszego inwentarza zmuszeni byli do sprzedaży stacjonarnej. Nie było bowiem sensu przynosić jednej kury albo królika, jeśli na targ szło się nieraz wiele staj.

Jeden z hodowców, handlujący królikami właśnie, nie wyglądał na niezadowolonego z faktu uziemienia. A już na pewno nie mógł narzekać na brak zainteresowania ze strony spożywców. Ludzie tłumnie przystawali przy jego kramie, wielu jednak kręciło nosem.

– Panie, co one takie dziwne?

– Sam pan jesteś dziwny! Nie chcesz pan, nie kupuj, daj innemu obejrzeć!

– A inny co, ślepy? Patrz pan, jakie one małe! Na pasztet chyba ze trzy trzeba!

– Jak tyle żrecie, to róbcie se ze trzech!

– Nie zagaduj pan, mów raczej, czemu łby mają takie duże.

– Roztropniejsze.

– A to zwierza się dla roztropności trzyma?

– Gada z nimi, jak nikt inny nie chce...

Rozległ się śmiech.

– Ot, głupie – podniósł głos jeszcze bardziej hodowca – o powinności swojej myślą lepiej. Patrzajta, ile młodych, jeden miot to. – Uniósł wtem wieko długiej na sążeń klatki, w środku której w panice biegały dwa tuziny królików.

– Ale mięsa mało mają! – Któryś z zainteresowanych przycisnął jednego ze zwierzaków do spodu klatki, jął dźgać go paluchem. – Co pan, chcesz, żebym mózdzek jego żarł? Czy gdzie...

Nie dokończył. Całą klatkę i otoczenie w promieniu kilku skoków spowił ognisty blask, który pojawił się z głośnym hukiem. Stojący dookoła, łącznie ze sprzedawcą, dosłownie zmienili się w popiół. Ocalały tłum zatrzymał się, patrząc na zdarzenie ze zdumieniem. Po chwili zaczął wrzeszczeć we wszystkich skalach głosu. Powstał zgiełk, jakże inny od tego panującego jeszcze parę chwil wcześniej. Ludzie wrzeszczeli i piszczeli,

inwentarz gdakał, muczał, kwiczał, beczał, rżał. Wszystko ogłaszało koniec targu, a jego uczestnicy pierzchali we wszystkie możliwe strony.

Na pobliskich chłopów można było liczyć, jeśli chodziło o żywność. Nie żalowali chleba, jaj, ryb czy innych smakowitych różności. Dziczyznę jednak Tracjan Klemenson wołał pozyskiwać sam. Lubił polować, poza tym świetnym treningiem było przyczajanie się i atakowanie z ukrycia.

Łowca wracał właśnie przez las do domu. Na ramionach niósł dopiero co upolowanego, ciepłego jeszcze, jelonka. Nieopodal, poprzez szum drzew zaczął docierać doń inny dźwięk – pokrzykiwanie wielu osób. Tracjan uznał, że zgiełk dochodzić musiał gdzieś spod domu, zważywszy że z każdym krokiem stawał się coraz głośniejszy.

Wszedł do swojej posiadłości tylnym wejściem, od strony lasu. Zszedł niespiesznie do piwnicy, złożył truchło na ławie, ściągnął okrwawiony płaszcz i, wróciwszy na górę, udał się pod drzwi frontowe.

– Przecie nie ma go, co będziem stać? – dobiegł go głos, nim jeszcze wyszedł na zewnątrz.

– Stój, może się zaraz zjawi...

Tracjan usłyszał płacze oraz rozżalone i pełne złości pokrzykiwania. Otworzył drzwi i napotkał spojrzenia tłumu chłopów.

– Ludzie! – Łowca uniósł ręce, uciszając wszelki hałas. – Z czym przychodzicie?

To nie było dobre pytanie. A przynajmniej nie powinien zadawać go ogółowi. Bo oto ogół naraz zaczął odpowiadać. Mnóstwem głosów, opisów i wersji zdarzeń, których nijak nie dało się oddzielić.

– Cisza! – krzyknął ponownie Tracjan. – Mów ty. – Wybrał stojącego najbliżej, wyglądającego na dość rozzębionego.

– Bieda, panie – jęknął ów, machnąwszy ręką. – Z targu przychodzim pożalić się i ratunku szukać!

– Mór to! Zaraza! – wtrąciła jakaś tęga kobieta, nie bacząc na przykazanie, by mówił tylko jeden. – Parę tuzinów ubiła!

– Ot, głupia! – odezwał się ktoś inny, chudy i o skrzywionej gębie. – Widziała ty zarazę? Przecie padli wszystkie naraz, jak na zawołanie! Prędeż wybuchło co, pożoga jaka...

– O, to, to! – potwierdził znów ten pierwszy. – Będzie coś z tego, bośmy po wszystkim popiołu bezmiar znaleźli!

– Co mówicie? – zdziwił się łowca. – Zginał ktoś?

– A bo jeden? Przecie mówim!

– Panie, żar się taki podniósł, że jak ich pochłonęło, to nie było rady, by wyszli żywo!

– Zebrała się wkoło kramiku ciekawych gromada, to i tę ciekawość srodze opłacała. Musi to jaki kuglarz stragan ustawił, czy inszy guślarz...

– Nie guślarz to! – krzyknął ktoś głosem rozdygotanym i wysokim. – Stałem i ja przy tym kramiku, alem szczęśliwie zawczasu był się wycofał. Na własne oczy widziałem, że to nic innego, tylko króliki. Zaprawdę! – podkreślił, próbując przekrzyczeć pomruki narastające w tłumie. – Prawda, dziwne, wielkie łby miały, większe niżli reszta ich ciała razem, ale to były króliki!

W paru miejscach wywiązały się ożywione spory między tymi, którzy nie chcieli uwierzyć w opowiedzianą rzecz i tymi broniącymi tejże. Być może ci drudzy, jak i świadek, widzieli kram, lecz uszli, nim wydarzyła się tragedia. Chłopi przybyli do łowcy po radę – aby ustalić, czym właściwie było zagrożenie – oraz po pomoc. Do tego pierwszego, zdawać by się mogło, już nikogo więcej nie potrzebowali. Sprzeczali się jedni z drugimi jeszcze czas jakiś, nim dali Tracjanowi dojść do głosu.

Jemu samemu było to zresztą na rękę, mógł zastanowić się, czy nie miał w przeszłości do czynienia z podobnym zjawiskiem i jak mu zaradzić. Uznał, że jakkolwiek dziwnie nie brzmiałaby opowieść o królikach, w dochodzeniu należało pójść tym tropem właśnie.

– Dość gadania – uciął dywagacje wiedząc, że nic pożytecznego, poza częściowym rozładowaniem wzburzenia tłumy, nie dadzą. – Niech ktoś prowadzi na targ, chcę przyjrzeć się bliżej wszystkiemu.

– Tam to, panie! Patrzajcie, jak czarno dokoła!

Rzeczywiście, w promieniu kilkunastu sążni wszystko było siwo-czarne, zupełnie jakby pomalowane popiołem i sadzą. Bliżej środka tego koła niewiele jednak pozostało – wybuch zapewne miał taką siłę, że wprost obrócił w proch to, co tam było.

– Mus się rozejrzeć... – stwierdził Tracjan, ruszając ku pogorzelsku. Przystanął zaraz; obróciwszy się spostrzegł, że idzie sam. Świadkowie stali, z

nietęgimi minami patrzyli to na niego, to na czarną dziurę. – Nie obawiajcie się! Drugi raz nie wybuchnie, a ja potrzebuję waszych świadectw.

Trzej chłopci niechętnie ruszyli z miejsca, burcząc coś pod nosami, że przecie oni już poświadczali.

Tracjan tymczasem, czekając na nich, a później każąc im czekać, oglądał miejsce zdarzenia. Spod warstw popiołu wystawały różne rzeczy. Zaczął grzebać w brym prochu. Wzniecił przy tym chmurę pyłu i się ubabrał. Znalazł nie do końca ostygłe zgliszcza drewnianych konstrukcji – jak domyślił się, pozostałości straganów, do połowy ocalałe kości ludzkie, niektóre z wciąż tkwiącymi na nich fragmentami mięśni, skóry i odzieży oraz skrawki futra. Te ostatnie zdawały się potwierdzać słowa świadka, jakoby kramarz miał tu króliki, z drugiej jednak strony, równie dobrze mogły to być kawałki czyjegoes ubrania – robiło się przecież coraz zimniej.

– To który z was był przy tym straganie?

– Ja, panie... – odrzekł jeden z chłopów. Nie był to ów wieśniak spod domu Tracjana, który dał świadectwo; tamten nazbyt bał się przychodzić na miejsce wybuchu po raz drugi. Chłop stojący teraz przed łowcą również, jak twierdził, odwiedzał nieszczęsny kramik, potwierdził też wersję z królikami.

– O czym ludzie gadali? Z handlarzem i między sobą?

– O, panie, a kto by tam to wszystko spamiętał? Mówili, że mięsa mało z tych króli, inni chcieli na futro tylko kupować, bo strach jeść... Wie pan, jak to na targu, a to za dużo chce za takie dziwności, a to inny, że on takie też ma i nawet nie pomyśli przedawać ich, cóż dopiero tak drogo...

– Co mówicie? Ktoś jeszcze takie ma?

– Ano...

– A kto?

– Panie, a co ja, każdego po imieniu znam? Nie gadalim, nie znam tedy kto on i skąd... Jednako – ożywił się wtem – wspomniął coś o szanownym panu! Gadał z kimś tam, opowiadał że to nawet wstyd panu Klemensowi oddać na użytek, a, mówi, był ów u niego ze dwa dni nazad i miast królika kuraka panu wolał dać.

A więc Tracjan powinien był przypomnieć sobie, który spośród odwiedzonych przezeń gospodarzy hodował króliki i kto podarował mu drób oraz odwiedzić owegoż. Zwłaszcza, że, jak uznał, poczerniałe zgliszcza i martwi nie powiedzą mu nic więcej.

Do sióła Podpazaczne Tracjan dotarł około godziny po południu. Sam, bo świadkowie nie byli mu już potrzebni. Wiedział przecież bez nich, gdzie mieszkał człowiek, którego odwiedzał dwa dni wstecz. Chłopi udali się do domów, z ulgą opuszczając miejsce wybuchu.

Domy we wsi, jak w wielu innych, położone były przy biegnącej prosto przez równinę drodze. Tuż za nimi, oraz za przylegającymi doń podwórkami z budynkami gospodarczymi, rozciągały się pola, na których niektórzy sielanie właśnie pracowali.

Chałupinę hodowcy, okoloną przez wiklinowy płot, Tracjan wypatrzył dość szybko. Podeszedłszy trochę, spostrzegł siedzącą na ławce kobietę z kilkuletnim dzieckiem na kolanach. Z ich twarzy momentalnie dało się wyczytać jakieś strapienie. Łowca domyślał się, że być może mąż siedzącej pod płotem nie wrócił z targu, porażony tajemniczą mocą.

– Dzień dobry! – przywitał się. Kobieta odwróciła ku niemu wzrok. Dziewczynka również wlepiła weń ciekawskie, acz zaniepokojone spojrzenie.
– Stało się co?

– A, stara bida, panie... – stęknęła tamta. – Samo życie.

– A co, mąż z targu nie powrócił?

– Stary? Gdzie! Czemuż miał nie wrócić...

Łowca, mówiąc szczerze, zdziwił się. Przyczyna frasunku kobiety zdawała mu się oczywista.

– To czemuż się trapiacie?

– Przez starego właśnie! Zbisił się, nie wiada czemu... – Skinięciem głowy wskazała dom za plecami. – Siedzi tera w chałupie, siekiery się jąwszy z domu wygnał, a sam się zamknął...

– Pijany?

Baba spuściła wzrok w zamyśleniu.

– Ja tam nie wiem, panie – rzekła. – Z targu trzeźwy wrócił, wyszedł gdzieś na podwórze, a jak zara do domu przyszedł, już taki był.

– Znaczy, mówicie, na niedługo na podwórze wyszedł?

– Ano.

– A nie mówił dokąd?

– Na obrządek. – Kobieta wzruszyła ramionami. Dziewczynka nieufnie, acz z zaciekawieniem, patrzyła tylko na obcego. – To nic mówić nie trza, przecie jak żarcie królikom i kurom bierze, wiadomo gdzie i na co idzie...

Rozmawiając z chłopką, Tracjan próbował nasłuchiwać dźwięków z chaty. Nic nie wskazywało na kłopotliwego mieszkańca w jej wnętrzu.

– Dziwności – stwierdził łowca. – Zostańcie tutaj, podejdę i zobaczę, co to się tam wyrabia.

Młoda chłopka skinęła tylko głową, wyraźnie będąc rada z możliwości pozostania na dotychczasowym miejscu.

Tracjan domyślał się, co jest przyczyną ostatnich dziwnych zdarzeń. Nigdy osobiście nie spotkał się z tym zjawiskiem i, jak pomyślał, wolałby, ażeby tak pozostało. Starczyło mu, że już nasłuchiwał się i naczytał o drobnych zwierzętach z powiększonymi głowami. Rozrost ów czasem sięgał takiego stopnia, iż rozciągnięte skóry i czaszki stawały się aż przezroczyste i widać było mózgi.

Podszedłszy do drzwi, zapukał w nie. Ze środka nadal nic nie było słyhać. Aż do momentu, gdy rozległy się ciężkie kroki. Ktoś podszedł pod samo wejście, przystanął. Tracjan czekał na odpowiedź.

– Czego? – usłyszał bez wątpienia głos gospodarza, jakże jednak inny od tego przyjaznego tonu sprzed dwóch dni.

– To ja, Klemenson – zapowiedział się łowca. – Słyszałem, że może być wam potrzebna pomoc.

– Niepotrzebna! Idzie niech!

– Czym wam uczynił co złego? Co się srożycie i chowacie przed przyjacielem, jakby to był zbójca raczej?

– Boście zbójca! Won mówię, w kibinimaty!

– Com wam zrobił? – uniósł głos łowca. On też był już nieco rozeźlony. – Jaśnijcie, zamiast rzucać tylko pochopnie potwarzami!

Drzwi uchyliły się gwałtownie. Na zewnątrz wyjrzał chłop trzymający siekiere gotową do ciosu. Włosy miał skołtunione, spojrzenie gniewne i dzikie. Odzienie, futrzaną kamizelkę na lnianej koszuli oraz płócienne portki, również miał w nieładzie i poplamione, zupełnie jakby bił się z kimś chwilę temu.

– Wyście wszyscy jednacy! – wysapał chłop. – Jako i na targu, wyróżnać chcecie moje dzieci, zali nie? Nie po króliki toś przyszedł, a? Won, bo łeb rozłupię.

Tracjan cofnął się krok przed uniesionym narzędziem. Chłop tę reakcję przyjął za koniec rozmowy, zamknął się na powrót w środku. Słusznie zresztą, bo łowca nie zamierzał mówić nic więcej – nie było sensu, chłop bredził od rzeczy, jakby nie swoją wolą.

Klemenson wiedział, czyją.

– Dużo macie królików? – zapytał, wróciwszy do gospodyni.

– Parę nad dwa tuziny – westchnęła, słysząc rozmowę sprzed chwili.

– Ale to miernoty, panie... Niby dorosłe, da się je nawet dopuszczać, a mięsa tyle co z młodziutkich...

– A głowy ich wielkie i mózdzki aż widać?

– Jakbyś pan je sam widział...

– To i lepiej, że mięsa mało... Mniejsza strata będzie jak wyrznię. Bo trzeba.

Kobieta bez większego oporu zgodziła się, skinąwszy głową.

– Da to co?

– Powinno. Zobaczmy po wszystkim. Czekaście tutaj, sam trafię.

Obszedł chałupę, próbując ukradkiem zajrzeć przez okna. Te były jednak zasłonięte od wewnątrz. Udał się w głąb podwórza. Na razie nie zbliżał się do chlewka z królikami, zaczął grzebać w skórzanej torbie na ramię i uspokajać myśli. Stado liczące koło trzydziestu osobników to jeszcze nie tak dużo. Powinno być też na tyle zajęte dotychczasową hipnozą, że raczej nie wyczuje niebezpieczeństwa.

Wyciągnął blaszaną puszkę z wystającym sznurkiem. Nie umiał posługiwać się czarami, nosił więc przy sobie ekwiwalent kuli ognia, zakupiony u zaprzyjaźnionych krasnoludów-rzemieślników. Jedna petarda, jaką był właśnie ów pojemnik wielkości kułaka, powinna była załatwić całą sprawę. Tracjan zastanawiał się tylko, czy nie aż nadto – eksplozja granatu mogłaby wysadzić całą szopę. To jednak raczej zostanie łowcy wybaczone, jeśli tylko uda mu się uwolnić gospodarza spod złego zaklęcia.

Tracjan uznał, że on sam nie będzie już zaglądał do środka drewnianego budynku, zwłaszcza że niosło to ze sobą zagrożenie. Relacja gospodyni i dotychczasowa wiedza pozwalały ustalić, że są to jednak króliki z powiększonymi głowami i jako takie powinny zostać unicestwione. Wyjąwszy krzesiwo i hubkę, strząsnął iskrę na tę drugą, od suchego grzyba podpalił lont. Wrzucił puszkę do wnętrza otwartej, na szczęście, szopy i uciekł za dom.

Granat był mocniejszy, niż się zdawało. Gruchnęło, aż ziemia zadrżała. Koło kryjówek łowcy spadło kilka drzazg i źdźbeł słomy. Wyjrawszy za róg chałupy, Tracjan ujrzał szopę, a właściwie jej brak. Zostało tylko parę desek pokrytych króliczymi bobkami, strzępy skóry zwierzaków oraz płomień po eksplozji, który szczęśliwie nie przeniósł się na inne budynki.

Na efekty eksterminacji nie przyszło mu długo czekać. Po chwili łowca usłyszał łomot w chacie, ujrzał chłopca wybiegającego bez siekiery, ku kobiecie i dziecku.

– Ach, daruj Chazia – zakrzyknął zapłakany, klękawszy przed nimi.
– Opętało mnie co niedobrego. Przecie ja bym nigdy... Ziajka, dziecinko...

Jął przytulać się do twarzy dziewczynki, której też zbierało się na płacz. Gospodyni od razu pojęła, że prawdę mówi jej mąż, że to nie z niego wyszło to szaleństwo. Nie w głowie jej było gniewanie się, zwłaszcza iż, na szczęście, gospodarz nie zdążył uczynić im krzywdy. Przytuliła do siebie chłopca, na koniec wszyscy popłakali się ze szczęścia, nie ważąc na Tracjana i rozwalone przezeń w drobny mak szopę i wszystkie króliki.

Sam łowca uśmiechał się widząc to szczęśliwe dla chłopów zakończenie. W głębi męczyły go jednak ponure przemyślenia. Ach, jakże chciałby, żeby to rzeczywiście był koniec! Miał przecucie, słuszne zresztą, że cała heca osiągnęła dopiero punkt rozwinięcia...

– Audi procol – wypowiedział Ongus. – Skup się... Powtórz... I mów, co słyszysz. Od najbliższego otoczenia – polecił Tymonowi ciszej.

Uczeń czarodzieja wypowiedział formułę, do jego uszu zaczęły dochodzić różnorakie dźwięki. Tym więcej, im bardziej skupiał się na zaklęciu.

– Co słyszysz?

– Kapanie wody... Krowę... Ludzi... Gadają...

– Poznajesz, kto?

– Kobity jakieś... Oj, nie poznaję, za cicho...

– Co ty nie powiesz? – Ongus się zaśmiał. – Mnie aż w uszach dzwoni.

– Łopot skrzydeł... – wymieniał dalej Tymon, nie rozpraszając się uwagą czarodzieja. – Dużych... Jakby... Orła?

– E, coś większego – zainteresował się Ongus.

Zamilkli, wsłuchując się w niepoznany dźwięk. Naraz, z grymasem bólu, nakryli uszy dłońmi, usłyszawszy łoskot.

– Ucichło... – szepnął Tymon. – O, kroki jakieś...

– Idzie do nas, zgaś zaklęcie.

Tymonowi przyszło to łatwo. Czar był na tyle niestabilny, że krótka myśl na inny temat wystarczyła do rozproszenia.

Już bez magii dało się słyszeć, że ktoś wdrapuje się po schodach wieży. Po chwili zobaczyli mężczyznę wyłaniającego się z dziury w podłodze.

– Dzień dobry...

– O, Klemenson! – Ongus rozradował się. – Czołem!

Tymon, skinąwszy tylko głową na powitanie, spojrzął na przybysza. Znał go, ale jego widok wzbudził w chłopie poczucie zagrożenia. Nie bezpośredniego, ale zawsze.

Tracjan spojrzął na twarze mężczyzn, rozejrzał się po wieży z lekkim uśmiechem, włożył do środka.

– Co znowu nabroiłeś? – Ongus wstał. – Bo przecież, jak zwykle, na samą zielankę nie wpadłeś?

– Ano. – Tamten spochmurniał. – Kłopot jest...

– Mów.

– Wielomyśl.

Czarodziej pobladł.

– Gdzie?

– Dokładnie nie wiem. Nie wiem też, ile...

– A co?

– Króliki. Ze trzydzieści rozwaliłem, koło dwóch tuzinów spaliło się samo – wyjaśnił łowca, chodząc po wieży. – Ale jest ich więcej, na pewno! Hodowcy pożyczali sobie samce. Zresztą... To króliki...

– Podatne mózgi i szybkie rozmnażanie, nie musisz mi mówić... – mruknął czarodziej.

Umilkli obaj. Tymon patrzył to na jednego, to na drugiego, nie rozumiejąc prawie nic. Wiedział tylko tyle: zmartwienie istniało i, chce czy nie, weźmie udział w jego zażegnaniu.

– O czym gadacie? – zapytał. – Co z tymi królikami? I co to ta wielomyśl?

Ongus przetarł twarz dłonią, spojrzął nań.

– Pamiętasz, jak zmieniłeś się w królika?

Głupie pytanie. Rozsądniejszym zdawało się: czy w ogóle da się takie zdarzenie zapamiętać. Skinął.

– W zmienionej postaci rzucałeś zaklęcia – wyjaśniał dalej czarodziej. – Później były problemy z przywróceniem ci człowieczej formy, a gdyśmy już to osiągnęli, królik, który pozostał, miał powiększoną głowę.

Tracjan z nieskrywanym podziwem spozjrzał na Tymona. Trochę się zmieniło od ostatniej wizyty łowcy.

– Królika zabiłem – ciągnął wolszebnik – wiedząc, że z tej głowy właśnie może wynikać bezmiar kłopotów. No, to wielomyśl jest największym z nich.

– Widzisz, zaczyna się zawsze od takiego jednego, niewinnego niby, królika z powiększoną głową. Z tym, że zaczyna być jak kapka dziegciu w miodzie. Nie wiedząc, że grozi to czymkolwiek, gospodarze hodują młode, a z tych o większym mózgu rodzą się tylko takie. Poza tym, króliki tworzące wielomyśl samymi swymi myślami potrafią sprawić, że i zwykłym królikom zaczynają rosnąć głowy. Później takie stwory gromadzą się, tworząc jakby jedność, o jednej woli, w myśl zasady: "w kupie siła". Bo im ich więcej się zbierze, tym potężniejsza jest wielomyśl.

– Na początku – kontynuował czarodziej po chwili ciszy – zwierzęta wielomyśli stają się po prostu nieco mądrzejsze, najbardziej mając na względzie dalszy wzrost. Od kilkunastu sztuk w grupie, zależnie od różnych czynników czasem od dwóch tuzinów, zaczyna posługiwać się magią. Najpierw słabszą, później mocniejszą. W końcu może hipnotyzować duże grupy stworzeń, niekoniecznie króliki, i używać ich do swoich celów. Ponadto nie wiem, co wielomyśl może, nie znalazłem nigdzie w księgach historycznych poświadczenia. Najpewniej nikt nie był na tyle głupi, żeby sprawdzić. Albo nie pożył dość długo, by to widzieć i opisać...

Tymon zadumał się, zaczął przyswajać usłyszane wieści. W milczeniu popatrzył na towarzyszy, których spojrzenia wlepione były w niego.

– Jak mrówki – podsumował chłop.

– Dobrześ to ujął. – Ongus skinął głową. – Z tym, że w wielomyśli nie ma niczego na kształt królowej, wszystkie osobniki są równie ważne, choć pojedynczo nie różnią się prawie niczym od zwykłego zwierzaka.

– Czemu akurat króliki? – zapytał Tymon.

– Dużo ich w okolicy... Ktoś słusznie pomyślał, że szybciej się zbiorą w wielkie zgromadzenie. Zwłaszcza, że w porównaniu na przykład do szczurów, królicze umysły są słabsze i łatwiej ulegają przemianie.

– Ale skąd się to wzięło? Z tego jednego, com go zrobił? Nie zabiłeś go, czy zdążył inne zaczarować przed zdechnięciem?

Ongus, jakkolwiek zamyślony, dumny był z przytomności umysłu ucznia i jego trafnych pytań.

– Nie, to niemożliwe... – mruknął czarodziej. – Za krótko żył, żeby... Ktoś inny musiał stworzyć tę abominację gdzie indziej. Miejmy nadzieję, że nie dużo wcześniej... Ale kto...

Zamyślony zamilkł. Ale tylko na chwilę.

– To on! – Wyprężył się. – To musiał być on! Wszystko pasuje! Ładnie to wymyślił, spryca... Oglupił wszystkich, łącznie ze mną...

– Kto taki? – zapytał Tracjan.

– A, nie znasz... – Ongus machnął ręką, odwrócił głowę ku Tymonowi. – To musiał być ten czarownik, co ożywił trupy i króliki. Pamiętasz?

Znowuż, trzeba było chyba być nieprzytomnym albo martwym, żeby nie pamiętać, chciał powiedzieć Tymon. Ponownie kiwnął jednak tylko głową.

Tracjan jeszcze bardziej zdumiony spojrzał po pozostałych. Zachodził w głowę: co tu się działo?

– Z wielomyśłą powinno nam pójść nieco łatwiej – Ongus krążył zaafierowany po pomieszczeniu – skoro jej twórca jest unieszkodliwiony... Ale – przystanął na chwilę, uniósł palec – to bardzo niewielkie "nieco". Jak już mówiłem, należy mieć nadzieję, że pierwszy stwór nie został stworzony zbyt dawno temu. O wiele łatwiej zabić małe grupki wielomyśli, takie co jeszcze nie zdążyły się połączyć.

Tymon zastanawiał się, czy jego nauczyciel dzieli się z nimi swymi spostrzeżeniami, czy po prostu głośno myśli. Ów chodził, gapiąc się w podłogę, jakby podążał tropem pozostawionym przez jakiegoś włamywacza. Bardzo długim tropem.

– Skoroś mówił, że już zniszczone są dwie oddzielne grupy – tu, jak domyślił się Tymon, Ongus zwracał się do łowcy – to jeszcze jest szansa. Nie możemy mitrzyć czasu, musimy wyruszyć jak najszybciej, jeszcze dziś, zaraz!

– Idź powiedz dziadziowi, że cię nie będzie – rzekł Ongus do chłopca, który już i tak podejrzewał, że przygoda go nie ominie. – Weź najpotrzebniejsze rzeczy. Prowiantu nie bierz, będziemy coś mieli albo zdobędziemy na bieżąco, kraina urodzajna.

Tymon zawahał się tylko na chwilę, po której puścił się pędem po schodach.

– A więc leci z nami? – ni to zapytał, ni to stwierdził, Tracjan.

– Czemu nie? Bocian ma trzy miejsca, każda para nóg do napędzania się przyda. – Ongus miał na myśli trzyosobowy ornitopter, maszynę, którą łowca zwykł podróżować. Czarodziej słusznie uznał, że towarzysz przyleciał nią również teraz. – Zresztą, możesz to nazwać praktycznymi dłoń zajęciami. Nauczą go więcej, niż rok ślęczenia w więzy i praca na miejscu.

Klemenson wzruszył tylko ramionami. Nie miał nic przeciwko, a wręcz cieszył się z obecności dodatkowego wolszebnika w starciu z wielomyślą.

Jako pierwszą odwiedzili Zakisną Wołę. Zgodnie z relacjami chłopów, w tej wsi również mieszkał ktoś, kto hodował króliki z dziwnie wielkimi głowami. Plotki, jak powiedział Ongus, mogą być jak ziele. Czasem zagłuszają prawdę, rosnąc stokroć szybciej pośród cenniejszych plonów. Umiejętnie zebrane mogą jednak przynieść szereg korzyści, w tym przypadku konkretne informacje.

Przed sadybą, która ich interesowała, zebrało się kilkanaście osób. Członkowie tłumku rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, spoglądali w głąb podwórka, to znów patrzyli wokół. Nie dziwi więc, że zaraz dostrzegli trzech przybyłych.

– Oho, czyżby kolejny zahipnotyzowany? – mruknął Tracjan pod nosem. – Co tak radzicie, stało się co? – zwrócił się do sielan. – Panie Namyśle, to pana dom. Mówcie.

– E, szkoda trochu – odezwał się jeden z chłopów. Widać, znali się już z łowcą od dawna. – Może to i dobrze, żeś pan przybył, zdaje się pomoc pańska potrzebna.

Chłop Namyśl przerwał na chwilę, być może czekał na słowa wyrażające zainteresowanie. Musiały mu jednak wystarczyć uważne spojrzenia przybyłych.

– Przyszło co w nocy – ciągnął – podusiło króle. Widzi mi się jednak, stado jakies to wielkie być musiało, będzie trzeba wespół wyruszyć i na szkodniki zapolować. Bo to niby normalne, zdarza się czasem, przyjdzie co, szkodę uczyni. Ale wszystkie klatki, wszystkie króliki, co do sztuki?

– U, niedobrze – przyznał łowca.

– Ano.

– Jakies ścierwa królicze zostały?

– Właśnie nie, zabrały bestie wszystko.
– Komuś jeszcze się tak przydarzyło? – wtrącił Ongus.
– Toż przecież – odparła kobieta stojąca z tyłu grupki. – Inaczej by tu wszyscy nie stali i nie radzili.

– I to w jedną noc?

– Ano tak. – Chłopka zmarszczyła brwi, jakby sama zaczęła zastanawiać się nad własną odpowiedzią. – Dużo musiało być tych bestii...

Nikt jej nie odpowiedział. Zdawało się jednak, że wszyscy nagle zrozumieli, że sytuacja jest dziwniejsza, niż się dotychczas zdawała.

– Możemy obejrzeć te klatki?

– Proszę. – Namysł wskazał ręką podwórko.

Już chwilę po tym, jak weszli na podwórze, mogli dostrzec ślady zajścia z ubiegłej nocy. Drzwi chlewka były u dołu częściowo zniszczone, razem z podkopem w miękkim podłożu tworzyły dziurę, przez którą mogło bez przeszkód przejść zwierzę wielkości lisa. Odcisnięte w błocie na zewnątrz łapy niezawodnie wskazywały drogę, którą czmychnęli uciekinierzy, czymkolwiek by nie byli.

Bez słowa weszli do środka. Stojące tam klatki również nosiły ślady zadrapań, w wielu miejscach ziały dziury, niektóre skrzynki nie wytrzymały, leżały po prostu zgruchotane.

– Małe ślady łap na dworze – zauważył Tracjan. – Wydrapane dziury, ani śladu krwi...

– Spójrzcie – polecił Ongus. – Klatki były drapane od środka. To króliki, chciały uciec.

– I uciekły – dopowiedział Tymon.

Czarodziej pokiwał głową.

– Spóźniliśmy się – rzekł cicho. – Wielomyśl już się zebrała.

Tracjan rozstawił na stole drewniane kubki. Nasypał do nich po porcji ziołowego suszu, przykrył blaszanymi sitkami i zalał gorącą wodą. Metalowe płytki spełniały swoje zadanie, prawie w pełni oddzielając fusy od reszty wywaru, jednocześnie pozwalając mu się zaparzyć.

– Nie miód to pewnie, co? – Tymon zmarszczył nos.

– Miodu napijemy się po wszystkim. – Ongus uśmiechnął się ponuro.

– Jak przeżyjemy, będzie, zaiste, co świętować.

– Zielanka. – Łowca wskazał napar. – Orzeźwi, pobudzi ciało i umysł.

– Łe. – Powąchawszy, Tymon skrzywił się jeszcze bardziej. – Z czego to?

– Tu akurat jest szaflwia, pokrzywa, liście brzozy, morwa...

– Pyszności – podsumował czarodziej. Chwilę później spróbował wysiorbać trochę płynu, ale oparzył sobie tylko język.

– Może samego wrzątku ci dam? – mruknął Tracjan. – Poczekaj, niechże dojdzie...

Ongus odstawił napar, spojrzął nań zamyślony.

Siedzieli przy stole w domu łowcy, radząc, co dalej. Nie widzieli sensu biegać po kolejnych wioskach i badać, w jakim stopniu rozwija się zagrożenie. Zwłaszcza, że czasu mieli mało. Z każdą chwilą ich szanse malały odwrotnie proporcjonalnie do ilości królików, które masowo uciekały ze swoich klatek.

– Będzie stokroć trudniej – rzekł czarodziej, przechodząc do sedna sprawy – teraz, gdy prawdopodobnie wszelki możliwy zwierz wokół złączył się z wielomyśłą...

– Jeszcze raz, jakie czary mogą rzucać takie dziwadła? – zapytał Tymon.

– Właściwie wszelakie, jak jest ich dużo.

– Ciekawym, czy dużo ich było u tego hodowcy... Może nie na tyle, żeby mogły ulecieć prosto do tego swojego zbiorowiska, a? Trzeba było je gonić, jakeśmy byli na miejscu, mogły być niedaleko.

Ongus przetarł twarz dłońmi.

– Trzeba było podpowiedzieć to wcześniej. – Westchnął, mrugając parę razy.

– Nie pytał nikt...

– Tedy następnym razem mów bez pytania. Zresztą... – Czarodziej machnął ręką. – U samego Namysła królików było mało, ale uciekły wszystkie z całego sióła. Zebrawszy się razem, mogły już zapewne sobie dopomóc...

– Nie zapominajmy też tego – wtrącił Tracjan – że to tylko jedno sióło, a zebrawszy się z całego opola, wielomyśł może poczynić jeszcze większe szkody.

– Nie możemy więc dać jej na to czasu. Zastanawiam się tylko, jak by tu...

– Co?

– ...wyrównać szanse... Żeby nie okazało się, że moja i Tymona moc nie stoi...

– Jaka moc? – ożywił się Tymon. – Skąd u mnie moc?

– Zaklęcia rzucać umiesz?

– No umiem... Niby...

– Więc jakąś tam masz.

– Ale udaru żadnego zaklęciem uczynić nie zdołam...

– Nie musisz, to już zostaw mnie. Będziesz tylko myślał o pewnych rzeczach, ale o tym... później... – Znów chwycił wywar, spróbował upić łyk. Udało się. – Panie łowco!

– Hm?

– Jest tu gdzieś wiedźma? Mówili ci o jakiejś opolanie?

– Ha! Być, na pewno jest – zachnął się Tracjan. – Ale aż tak nikt nie ufa, ażeby wyjawiać takie rzeczy funkcjonariuszowi straży...

– A szkoda – cmoknął Ongus. – Przydałby się nawet i nierejestrowany czarotwórca. Bo rzadko która wiedźma tylko zbiera i warzy zioła. A tak trzeba będzie inaczej...

Ongus zamilkł, siorbnął zielanki. Za jego przykładem poszedł łowca. Tymon też postanowił spróbować wywaru. Upił łyk, skrzywił się i odstawił napój. Nie skomentował.

– Potrzeba nam tedy – ciągnął czarodziej – niemagicznej siły... Tracjan, zdaje się, mówiłeś, żeś uprzednio rozwalil małą grupkę petardami, tak?

Zapytany pokiwał głową.

– Dużo tego masz?

– Ile trzeba, tyle będę miał.

– Trzeba dużo... A nie dałoby się przesypać prochu do jednego większego zbiornika?

– To puszki. Lutowane, zdaje się. – Tracjan westchnął. – Owszem, dałoby się, ale zeszloby mi się do jutra, skoro bomba ma być duża.

– E, dobra, to nie. – Ongus machnął ręką. – Prosto weźmie się ich więcej, też powinno... wypalić...

Uśmiechnął się pod nosem.

– Jak wygląda ta... wielomyśl? – wtrącił Tymon. – Znaczy, jak już się zbierze? Jeden na drugiego włazi, czy się jakim powrozem współ uwiążują?

Słuchający go zaśmiali się serdecznie.

– Może i lepiej by to było – westchnął wolszebnik.

– Łatwiej byłoby rozbić taki... konstrukt – zadumał się Tracjan.

– Ale niestety, mogą się poruszać jako oddzielne organizmy. Do rzucania czarów wystarczy im, że są dość blisko siebie. Przy tym komunikują się w ten sposób, że osobniki na brzegach jednej wielomyśli mogą oddziaływać na siebie, jakby stały jeden przy drugim.

– Czyli chyba najgorzej możliwie... Trzeba tedy próbować robić wyłom gdzieś pośrodku? – bystro zauważył Tymon.

– Zgadza się. W ten sposób najszybciej osłabi się komunikację i moc wielomyśli. Być może uda się na parę chwil podzielić ją na dwie, o wiele słabsze, grupy.

– Dobre w całym jest to – skomentował Tracjan – że mniej, niż się zdaje, będzie kłopotu z ganiem rozpierzchniętej wielomyśli. Bo króliki, widząc w tym swoją szansę, będą ciągle chciały zebrać się do kupy, w jedno miejsce. Nie powinien zatem żaden zostać na uboczu, wszystkie wpadną, jak do kotła.

– Ot, powiedział, co wiedział – zachnął się Tymon. – A weź tu wpierw i rozpierzchnij to to...

– Pożyjemy, może zaradzimy – Ongus kiwnął głową. – Ale, jakeś to rzekł, po kolei...

Towarzysze szybko obrali właściwy kierunek marszu. Nie mieliby z tym kłopotu, nawet gdyby Ongus nie wyczuwał magicznych zakłóceń, które, jak określił, były subtelne niczym wrzask prosto w ucho. Drogę wskazywały im zwierzęta – nie tylko króliki – spotykane przez nich co jakiś czas, idące pod wpływem hipnozy w tę samą stronę. Tymon czuł się dziwnie widząc sarny, czy wiewiórki, wbiegające im co i rusz pod nogi, nie baczące na jakiegokolwiek zagrożenie ze strony ludzi.

– Tak mi się przypomniało – odezwał się Ongus, przeszedłszy spokojnie nad czmychającym lisem – przecież miałeś w swoim rejonie smoka. Co z nim?

– Dawno nikt go nie widział – odparł Tracjan. – Albo poleciał gdzie daleko, albo bardzo twardo śpi.

– Oby rzeczywiście bardzo twardo... Skoro nie możemy go wykorzystać, lepiej wielomyśli też niech nie uda się go omamić.

Tymon zbladł momentalnie. Uspokoilo go nieco parsknięcie łowcy.

– Żartujesz chyba – mruknął ów. – Smoka? Przecieniasz umiejętności hodowli tutejszych sielan. Aż tyle królików nie mają. Ani wielomyśl nie miała aż tyle czasu, ażeby zavezwać króliki z całego Karhum...

– Ja tam nie wiem, ile to zebrało osobników, ani co może zrobić w jakim czasie. Wolę być ostrożny.

– No proszę cię – prychnął znów Tracjan. Obrócił się do Tymona.

– Nie słuchaj go, bredzi.

– Tedy – kontynuował temat chłop – ile musiałoby ich się zgromadzić, ażeby otumanić takiego smoka?

– Zielonego smoka, według naszych danych liczącego sobie ponad pół tysiąca lat? Jakieś... – łowca przyknął oko w zadumie – tysiące tysięcy, jak podejrzewam.

– Skoro tak – odetchnął Tymon – chyba nie ma się, co tym martwić.

– Ano, są inne zmartwienia – zauważył Ongus. – Mówicie tak, jakbyście nie brali pod uwagę wielomyśli samej w sobie...

Zamilkli. Zadumę przerwał sapiący im za plecami dzik. Nie zaatakował, po prostu biegł w tym samym kierunku. Zeszli mu z drogi.

– A te żywotne? – podjął znów Tymon. – Na co one tej wielomyśli? Przyłączają się do niej, czy co?

– Pośrednio – wyjaśnił Ongus. – Będą tylko wypełniać częściowo jej wolę. Na przykład, może im kazać udać się gdzieś lub zaatakować. Na razie jednak chyba nic nam nie grozi...

– Czemu?

Wolszebnik zmarszczył brwi.

– Bo na razie wielomyśl gromadzi je tylko bez konkretnego celu. Właściwie to pewnie jeszcze nie wie, że jesteśmy dlań zagrożeniem. Znaczy... – przerwał znów. – Jakiegoś tam zagrożenia jest świadoma, to był impuls do jej zebrania się. Ale nie wie o niczym konkretnym, nawet ta akcja Klemensona w niczym jej nie uświadomiła.

– Tedy... – Tymon miał już kolejne pytanie, a jednocześnie przyswajał usłyszane dotąd informacje. – Jak długo możemy pozostać w takim ukryciu? Przecie oczy mają, w końcu nas zobaczą...

– Owszem – zgodził się Ongus. – Do tego czasu starczy, że żaden z nas nie będzie rzucał żadnych zaklęć. Czary to najszybszy sposób na poznanie, czy ktoś ma własną wolę, czy jest opętany. Przed samym wzrokiem wielomyśli

nie bardzo da się ukryć. Ale gdy nas już zoczy, powinniśmy być zdolni zrobić to, co do nas należy.

– Czyli co? – Tymon zmartwił się. – Znaczy, konkretnie ja; co mam robić?

– Jak już ustaliliśmy, gdy przyjdzie odpowiednia pora, Klemenson podprowadzi ładunek – tu Ongus wskazał na wór konopny wypełniony po brzegi petardami, ciągnięty na wózku przez łowcę – jak najbliżej gromady tych stworów. W tym czasie ty masz myśleć o ogniu, dużo i mocno, o pożodze wręcz. Ja spróbuję najpierw zagadać wielomyśl, później rzucę zaklęcie wzmocnione twoimi myślami. Czar powinien spowodować wybuch ładunku, a razem z nim postać co najmniej z pół wielomyśli w diabły.

– Zaraz – przerwał mu Tymon. – To ona umie gadać?

– Mówiłem, że mądrzeje z każdym kolejnym królikiem. – Ongus wzruszył ramionami. – A co, myślałeś, że umie rzucać zaklęcia, a nie umie gadać?

Tymon nie odpowiedział nic więcej. Bał się tego, co nastąpi. Jedyne, co go trochę pocieszało, to fakt, że właściwie nie musiał robić nic. Myślenie o ogniu to mało w porównaniu z zadaniami pozostałych.

Między nogami trzech wędrowców przebiegło kilka lisów. Tymon zdał sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie widział tych zwierząt zgromadzonych w stado. Nie dało się nie zauważyć coraz większego poruszenia wśród stworzeń leśnych i coraz większej ich ilości.

– Gdzie ona się gromadzi? – znów zapytał chłop. – W jakiej jaskini, czy ruinach? Czy w ogóle samo pod chmurami?

Ongus nie odpowiedział, przystanął patrząc przed siebie. Reszta poszła za jego przykładem. Kilkanaście staj naprzód widać było konstrukcję z drzew. Bynajmniej nie zwyczajną budowlę z desek czy bali. Ta wyglądała raczej, jakby żywe rośliny uformowały się w ogromną rotundę z kopułą i ścianami uplecionymi z konarów i liści. Przed obiektem gromadziły się setki zwierząt; część wchodziła do środka przez kilkanaście szerokich wejść.

– Zdaje się, że tutaj...

Tracjan gwizdnął z uznaniem.

– Duże... – ocenił Tymon.

– Tak... Duże... – rzekł cicho czarodziej.

– To niemożliwe! – obruszył się łowca. – Przemówiła do drzew! Nie każdy tak potrafi! Chyba tylko rusali!

– Ano właśnie...

Tymon spojrział na wolszebnika. Chyba jeszcze nigdy nie widział go w takim nastroju, przygaszonego i dziwnie uspokojonego.

– Co ci? – zapytał chłop. – Zdrowyś?

Ongus westchnął.

– Tak... Zastanawiam się tylko, czy zdołamy cokolwiek uczynić. Panowie... Nie będę was okłamywał, prawdopodobnie zginiemy, próbując powstrzymać wielomyśl.

Towarzysze zamilkli. Nie dyskutowali z czarodziejem, bo po tonie głosu i wyrazie twarzy od razu widać było, że bynajmniej nie stroi sobie żartów. Stali przez chwilę, patrząc na gromadzące się zwierzęta.

– Nie, źle mówię, wybaczcie. – Ongus ożywił się. – Szanse może małe, ale są. Nie ma co zasypywać gruszek w popiele! Nie trwóźcie się, bo to nas tylko osłabia! Do roboty, chłopcy – warknął. – Mamy wielomyśl do zgładzenia.

Tymon i Tracjan stali dalej, nie wiedząc, co sądzić o tym kalejdoskopie nastrojów towarzysza.

– No, żywo! – Wolszebnik uśmiechnął się. Naprawdę odzyskał pewność siebie. – Ruszajcie się, bo nam poczwarą ucieknie!

Ruszyli szybkim marszem w stronę rotundy. Nie czując strachu, raczej dziwną obojętność na to, co może się stać.

Przy samym wejściu do konstrukcji musieli przestępować i przeciskać się przez małe i duże stworzenia, które tylko popiskiwały i powarkowały nań. Wewnątrz również było ciasno. W głębi budowli stały trybuny w kształcie półksiężycy, na których siedziała niezliczona ilość królików. Na swoistej arenie utworzonej z pozostałego miejsca kłębiły się zebrane zwierzęta leśne. Tam również stali trzej przybyli.

– Tymon, zaczynaj myśleć o ogniu – polecił cicho Ongus. – Trochę trudno będzie ci podejść pod samą wielomyśl – zwrócił się do łowcy.

– Dobrze, że nie są zbite w kupę, a rozciągnięte po tych trybunach – zauważył Tracjan. – Może i nie tak wiele ich padnie od wybuchu, ale wtedy ilość powinna mieć mniejsze znaczenie.

– Bo będą dwie, o wiele słabsze, wielomyśli – odpowiedział czarodziej.

Chłop rozejrzał się. *Dużo futrzaków i sierściuchów. Ale będzie się paliło.* Wyobraził sobie swąd opalanej świni. *Smród, dym, wisk niezliczonej*

liczby żywotnych. Jak się rozbiegną, będzie jeszcze większy pożar. Z drugiej strony, pomyślał z obawą, na pewno spali się i las. Ale tak trzeba, musimy rozwalić tego stwora.

– Mamy gości – usłyszeli. Dźwięk dochodził zewsząd, jakby wypowiedany z niezliczonej ilości gardeł, jednocześnie tak doskonale zsynchronizowany, że nie było żadnych problemów ze zrozumieniem słów.
– Prosim.

– Zaczynj iść w ich stronę – szeptem polecił Ongus łowcy. – Będę się starał zwracać na siebie ich uwagę, póki nie wrócisz.

Trzeba dać czas Klemensonowi, jak najdłużej rozmawiać z wielomyślą, pomyślał Tymon. A raczej usłyszał w głowie wątek, który nie należał do niego. Dopiero po chwili zrozumiał, że czarodziej utworzył tę więź, o której wcześniej mówił.

– Ktoście wy? – Ludzie usłyszeli spotęgowany głos wielomyśli.
– Chcecie, jak inni, na nas uderzyć?

– Jak inni? – zapytał Ongus rad, że stwór sam zaczął rozmowę. – Niby kto na was wcześniej uderzył?

– Było tak. Wiemy o szczątkach naszych braci, spopielonych i rozrzuconych. Nie z innego to powodu się tu zebraliśmy, jak w obronie przed oprawcami, których mniejsze, bezbronne grupy pokonać nie zdołały.

– Co najwyżej głupie, a nie bezbronne. Z tego, co zasłyszałem, jedno z waszych zgromadzeń zniszczyło się samoistnie.

– Mówisz jak każdy agresor – oznajmiła wielomyśl. – Oby tylko wyrzec się winy, zrzucić ją na niewinnych.

Ongus głośno prychnął.

– Niewinnych? – warknął. – To wyście zaczęli agresję na ludziach, którzy żadnej krzywdy nie zdążyli uczynić, ani nawet nie wiedzieli zapewne, czym jesteście. A jesteście abominacją, stworzoną na widzimisię jakiegoś obłąkańca i przeciw prawom natury. Nie dziwcie się tedy, że prędzej czy później natura będzie się chciała was pozbyć.

– Nie nasza to wola, że istniejemy – przerwała Ongusowi wielomyśl.
– Jakoś rzekł, kogo innego to dzieło. Jednak istniejemy, więc odejdz w pokoju, człowiecze, pozwól nam żyć.

Czarodziej spojrział na łowcę, który zdołał już podłożyć ładunek pod drewnianą burtę trybun.

– Gdybyście tylko czynili to samo – odparł. – A wiemy doskonale, że tak nie będzie. Zaatakujecie, nim zdążę wrócić do domu.

– Tylko w obronie własnej...

– Która w waszym mniemaniu jest zahipnotyzowaniem lub zniszczeniem wszelkiego życia niezgodnego z waszą wolą – przerwał rozsierzony Ongus. – Czymże innym jest ta zgraja zwierząt, co? Czyżby one też na was uderzyły?

– I one były nieraz przez was, ludzi, nękanie – wyjaśniła wielomyśl. Zdawało się, że tak bardzo pochłonęła ją rozmowa, że nie dostrzegła oddalającego się odeń Tracjana. – Będąc same także nie potrafiły się bronić.

– Potrafiły wedle swych zdolności i natury. A kto zaburza naturę w tak uciążliwy sposób, musi, jak dla mnie, zginąć! Łowco, wiej stamtąd!

Tymon, starając się myśleć o wybuchu, patrzył na nadbiegającego towarzysza. Nie miał na to zbyt dużo czasu.

Zabić! ZABIĆ WSZYSTKICH! usłyszał w głowie wrzask tak potężny, że aż poczuł fizyczny ból. Z przerażeniem uświadomił sobie, że nie jest to głos czarodzieja. *Uwaga, włamuje się nam do głów!* Tym razem była to myśl Ongusa. *Nie możemy dłużej...*

To stwórca! odezwała się znów wielomyśl. *Zostawić jego umysł. Nie zabijać pana! NIE ZABIJAĆ! Zniszczyć pozostałych!*

Trzeba nawiązać połączenie z Tracjanem... Tymon znów usłyszał myśl czarodzieja. *Być może wtedy wszyscy przeżyjemy.*

Co tu się, na pomór, dzieje?! Chłop usłyszał, tak sądził, myśli Klemensona, który aż przystanął z wrażenia.

– Też chciałbym wiedzieć... – mruknął młodzieniec nadzwyczaj spokojnym, wręcz niestosownym do sytuacji, głosem.

Budowlą wstrząsnął potężny huk, gdy Ongus spowodował wybuch, podsycany ładunkiem petard na wózku. Płomień w mig ogarnęły dużą część wielomyśli i innych zgromadzonych zwierząt. Eksplozja nie dosięgnęła ludzi, ale było kwestią czasu, nim burza ognia przeniosłaby się również na nich.

– Chodu! – wrzasnął Ongus. – Bo albo spłonimy, albo nas stratują!

Miał rację. Wszystkie zwierzęta biegały, przepychały się, miażdżyły nawzajem. Te mniejsze miały niewielkie szanse na przeżycie. Część wszystkich stworzeń, również pozostałej wielomyśli, biegała, zająwszy się ogniem, podpalając inne. Wędrowcy słyszeli niewyobrażalny zgiełk, rozmaite

odgłosy agonii zwierząt, które widocznie nie były już zahipnotyzowane, wszystkie naraz próbowały uratować się, umknąć z chaosu.

– Ułóżmy się w gromadę! – krzyczała wielomyśl coraz bardziej niezrozumiale. – Tylko tak będzie... szansa... Razem! Ubiegać w bezpieczne miejsce! Zagrożenie! Ubiegać! Ubiegać...

Tymon poczuł ostry ból głowy. Skulił się, zamknąwszy oczy i ucisnąwszy skronie dłońmi. Nie był w stanie uciekać. Wtem poczuł, jak towarzysze chwytają go za ramiona i wyciągają na zewnątrz. Mimo mocno zawartych powiek poznał, że promienie słoneczne padają na jego twarz. Ucichły wrzaski i piski, ale tylko odrobinę. Otworzył oczy i ujrzał Ongusa oraz Tracjana, którzy nie przestali go odciągać. Wciąż znajdowali się w strefie zagrożenia, która rozciągała się daleko poza rotundę z drzew.

Przystanęli dopiero kilkanaście staj dalej. Tymon spojrzał po towarzyszach. Ongus wpatrywał się w rozbiegające się we wszystkie strony zwierzęta. Tracjan, jak zauważył chłop, stał jakoś krzywo. Trzymał się za podudzie, przez palce sączyła się krew.

– Co ci? – zaniepokoił się Tymon.

– Dziabnęło mnie któreś – stęknął łowca. – Bez obaw, tylko po powierzchni...

– Dasz radę chodzić? – zapytał Ongus.

– Pewnie...

Łowca wolną ręką wyciągnął zza pazuchy zwinięty bandaż, zaczął uciskać nogę.

– Co tam się właściwie stało? – zapytał.

Ongus patrzył w stronę rotundy ogarnianej przez ogień. Nie od razu odpowiedział.

– Na nasze szczęście, wielomyśl próbowała najpierw mnie zahipnotyzować – zaczął wyjaśniać. – Podłączywszy się pod naszą więź, poznała... swojego... stwórcę... – Zawiesił głos, spojrzał na stojącego obok Tymona. Chłop nie był aż tak głupi. Pochwycił spojrzenie; wiedział, że o nim mowa. Niemal zaczął czuć się winny, choć przecież nie rozumiał do końca, co zaszło.

– Widząc w tym szansę, szybko podłączyłem również i ciebie – wytłumaczył czarodziej łowcy. – Włamałem ci się do mózgu i, widać, słusznie, bo wielomyśl nie mogła uczynić wobec nas nic więcej. Nim się otrząsnęła, zrobiłem, co należało.

– Tedy... – zawahał się Tymon – jednak za długoś zwlekał z zabiciem tego... mojego królika?

Ongus cmoknął, pokręcił głową. Również i tym razem jakiś zastanawiał się nad odpowiedzią. Do tej pory był pewien, że nie, ale wobec zaistniałej sytuacji nie potrafił wyzbyć się wątpliwości.

– Nie sądzę... – rzekł cicho. – Nie wiem do końca, trzeba mi to przemyśleć, może się z kimś skonsultować...

Zadumał się.

– Musimy szybko zwołać chłopów – zmienił temat, wpatrując się w ogień. – Trzeba spróbować ocalić las. Pomogą?

– Co mają nie pomóc? Nie będą siedzieć i się gapić, jak im cały las szlag trafia.

– Jest dość wilgotno, dobrze – ocenił czarodziej. – Choć z drugiej strony idzie jesień, drzewa są już mniej soczyste...

– Niedaleko płynie rzeka. Możemy czerpać z niej wodę, a może i część co roztopniejszych zwierząt wpadnie na to, żeby się ugasić?

– Nie sądzę. – Wolszebnik pokręcił głową. – Nie widziałem jeszcze płonących, roztopnych zwierząt.

A te biegały jak opętane. Część z nich paliła się, inne po prostu biegały w panice, niejednokrotnie również zajmując się ogniem. Szczęśliwie, nie wybiegały daleko, kłębiły się raczej w tym samym obszarze, niedaleko konstrukcji utworzonej przez wielomyśl.

– Nie ma tedy co gadać – oznajmił Ongus, obrócił się ku łowcy. – Wiąż nogę i ruszamy do pobliskich siół.

– Znowu to? – skrzywił się Tymon.

– Nie marudź, przyzwyczajasz się – mruknął Ongus. – Są różne rzeczy do picia, nie tylko miód i gorzałka. A to najlepsze, co natura daje... Z roślin.

– Piję z roślin... Kompot...

Tracjan rozstawił przed nimi kubki z zielanką.

Wrócili z akcji ratowania opola przed pożarem. Zebrawszy pospiesznie sielan z okolicznych wsi udali się z nimi do lasu, gdzie przeprowadzili wcześniej zaplanowane działania. Tłum chłopów zajął się wycinką pierścienia drzew, który osłonił resztę przed ogniem. W tym samym czasie trzej wędrowcy wkroczyli do środka gorejącego obszaru. Pilnowali, by

jak najmniej płonących zwierząt uciekło oraz rozglądali się za niedobitkami wielomyśli, by nie mogła zebrać się na nowo. Ich zadanie, choć nieco niebezpieczne ze względu na płomienie, nie było zbyt trudne – większość zwierząt po prostu padła na miejscu w wyniku odniesionych obrażeń. Część z nich próbowała ugasić się na miejscu. Największe zagrożenie ogniowe stwarzały same drzewa, choć, jako się rzekło, chłopci skutecznie je ograniczyli tylko do pewnego obszaru. Wiatr był słaby i, jak się później okazało, nawet w obrębie pierścienia sporo drzew zachowało się od pożogi.

– Tedy co teraz? – rozpoczął burzę mózgów Tymon.

– Mamy czas, żeby pomyśleć. – Tracjan machnął ręką. – Wrócił względny spokój.

– Trzeba będzie... z daleka nawieźć królików, żeby pobliscy chłopci mogli odnowić swe hodowle – rzekł Ongus, zaskakując trywialnością zaproponowanego rozwiązania. Nie o tę kwestię chodziło Tymonowi.

– No tak, ale co z wielomyślą?

– Przestała istnieć. Na razie omówmy to, co pozwoli wrócić do normalności, dopiero później zobaczy się, co z wielomyślą. Pożoga zażegnana, tak?

– Tak – potwierdził Tracjan. – Chłopci mówią, że to, co zostało, tli się zaledwie, jeszcze trochę i zgaśnie całkiem.

– Czyli roślinność będzie się miała dobrze... Martwię się o zwierzęcą część lasu.

Pozostali pokiwali głowami.

– Dzikich zwierząt już nie sprowadzisz z daleka – zauważył łowca.

– Minie ładnych parę lat, nim tutejsza fauna wróci do normalnego stanu.

– O ironio, wielomyśl chciała je wszystkie ocalić... Osobiście podziękowałbym za takie ocalanie.

– Chyba muszę zapomnieć na razie o polowaniu – westchnął Tracjan.

– I o dziczyźnie też...

Ongus uśmiechnął się.

– Schudniesz. Zresztą, dostaniesz czasem wieprzka od sielan, mięsa ci nie zbraknie.

– Tak, ale...

– Tak, wiem, dziczyzna – przerwał znów tamten kąśliwie. – Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Zamilkli. W ciszy co chwila słyhać było cmokanie i szuranie stołka, na którym siedział Tymon. Aż gotowało się w nim z niecierpliwości. Chciał jak najszybciej dowiedzieć się, czy jest przyczyną zaistniałego bałaganu.

– Ta cała wielomyśl – zaczął Ongus, pochylony nad kubkiem zielanki – jest dla mnie nie lada zagadką... Nie mamy pewności, skąd się wzięła, nie możemy też stwierdzić na pewno, czy wytłukliśmy ją całą... Musisz – zwrócił się do łowcy – przykazać chłopom, by wstrzymali się ze sprowadzaniem królików. A gdyby znaleźli jakiego, z dużym łbem zwłaszcza, niech zabiją, o czym później mają ci donieść.

Tracjan skinął głową.

– Księżyc bez królików wytrzymają, po tym czasie możesz im pozwolić na hodowlę. Nie zaszkodzi, jeśli wręcz sam im pomożesz ściągnąć kilkanaście sztuk...

Znów zamilkł. W zadumie popatrzył na chłopą. Ów wytrzymał spojrzenie, tę siłę dała mu chęć otrzymania jakiegokolwiek wieści. Czarodziej siorbnął powoli naparu.

– Powiedz ty mi jedną rzecz – rzekł w końcu do chłopą, wsparłszy głowę na ramieniu. – Działo się co dziwnego z waszymi królikami? Wspominał coś dziadzio?

Tymon pogrzebał w pamięci, patrząc w kubek przed sobą.

– Jakśmy wyjeżdżali, były normalne. – Wzruszył ramionami. – Strachliwe, jak to króliki, głowy normalne...

Ongus zaśmiał się.

– Tedy zabij mnie, a nie wiem...

Chłop naprawdę miał przez chwilę ochotę, by to uczynić.

– Wiem tyle, co i ty – wyjaśnił czarodziej. – Podejrzewamy zapewne podobne wyjaśnienia. Nikt jednak nie powiedział, że to ja muszę wymyślić wszystko, a ty tylko przytakniesz. Jeśli masz więc jakieś błyskotliwe koncepcje, rad byłbym je usłyszeć.

Tymon nie miał.

Pospuszczali głowy, w milczeniu wpatrując się w kubki przed sobą. Chłop, poszedłszy za przykładem towarzyszy, postanowił upić łyk zielanki. Skrzywił się. Dalej było niedobre. Był sfrustrowany, że, mając tyle pytań, nie mógł otrzymać nań żadnych odpowiedzi. Nawet od najmądrzejszej znanej przezeń osoby.

– Trzeba nam – rzekł w końcu Ongus, przerywając długą ciszę. Widać, wiedział, że ciąży na nim obowiązek ustalenia, co powinni robić dalej. – wrócić do Wolszebnik, później wyruszyć tam, gdzie być może podsuną nam więcej pomysłów co do wielomyśli. Wszak, myśląc wzorem tej ostatniej, co kilka głów, to nie jedna...

Raz, dwa, trzy, czarna Baba Jaga patrzy!

Gościniec stawał się coraz szerszy, do tego wybrukowany płaskimi kamieniami już od paru dni drogi. Większy też panował ruch, Tymon podobny tłok widywał chyba tylko na targu w Rakicicach. Ludzie mijali się, pozdrawiali, czasem kłócili, gdy jeden drugiemu mniej lub bardziej zamierzenie czynił szkodę. A to ktoś zaczepił wozem o wóz, znów to przystanął koń, przestraszywszy się, gdzie indziej pisnął kopnięty pies.

– Co to, targ jaki? – zdumiał się Tymon.

– Jak codziennie – odparł woźnica. – Ale żeby dni targowe, to nie. O, panie, jakbyście wówczas tu trafili, byście przez siedmicę z grodu wyjeżdżali!

Tymon i Ongus napotkali w drodze życzliwego człowieka, jadącego drabiniastym wozem. Zaoferował im podwózkę. Zgodzili się, bo po tak długim szlaku dobrze było dać odpocząć przemęczonym nogom. Zbliżali się już do celu, miasta Lukata, stąd wszechobecny tłok. Tymon zafascynowany spostrzegł, że do grodu nie wjeżdżały wyłącznie chłopskie wozy, do tego widać było nie tylko ludzi. W różnobarwnej tłuszczy rozeznawał krasnoludy i rusałów, bo ich przedstawiciele miał okazję spotkać wcześniej. Widział jednak wielu, których nijak nie dało się przyłączyć do żadnej z poznanych przezeń ras. Niektórych z osobistości młodzieniec nie posądziłby nawet o człowiecze obyczaje, a okazywało się, że rozmawiały jak ludzie i, ogólnie rzecz biorąc, od tych ostatnich różniły się głównie wyglądem.

– Dziwności... – podsumował swe obserwacje.

– Ano – odgadł jego myśli Ongus. – A to dopiero jakby przedsięnek grodu! Poczekaj, aż wjedziemy do środka!

– A właśnie – zająknął się właściciel wozu – względem wjazdu, panowie... Darujcie, ale... Zechcielibyście rozstać się ze mną, zsiąść z wozu? Z towarem jadę... Sami rozumiecie, wyście, za przeproszeniem, z wyglądu dość niezwykli... Straż łatwiej się weźmie do przeszukiwania mojego dobytku, a na co mnie to?

– Panie szanowny, jak wola – odparł czarodziej. – Wiedz jednak, że z nami to i łatwiej by ci poszło, bez żadnego przeszukiwania w ogóle!

– Jakże to?

– Oto my do górnego miasta idziemy.

Ich dobroczyńcą zauważalnie zaczęły miotać sprzeczne uczucia. Na jego twarzy na przemian pojawiał się podziw i niedowierzanie.

– Nie obrażcie się, panowie – stęknął – ale każdy przecie mógłby byle chłopu rzec, że on to do górnego miasta, ma przepustkę. Skąd mnie wiedzieć, że i wy kłamu nie zadajecie?

– Nie każemy wam zawierzać. Myśmy tylko wyszli z ofertą. A co z nią pan zrobisz, to już nie nasz wybór. Rzeknij słowo, pójdziem pieszo.

Nie rozwiało to wątpliwości woźnicy. Szybko jednak machnął ręką.

– A, siedźcie – mruknął. Przecie was nie będę z wozu wyganiał, skorom wpierv zabrał. Dobrze wam też z gąb patrzy, tedy, zdaje mi się to, prawdę mówicie.

Bynajmniej nie zanosilo się na jakąkolwiek kontrolę. Celnicy pilnujący bram wraz ze strażnikami miejskimi zatrzymywali mało kogo. Ot, paru handlarzy o tak dużych pakunkach na wozie, że mogły wyglądać podejrzenie, kilka grupek nie-ludzi, odpowiadających okrzykami niezadowolenia na ten rasizm. Inni, łypiąc tylko niepewnie na zbrojnych, wjeżdżali lub wkraczali przez rogatki.

Jakież więc było zdziwienie trzech wędrowców, gdy padło na nich.

– A gdzie tak jadą? – wydarł się strażnik. – Stać!

– Panie dobry, pomiluj! – jęknął woźnica. – Puście, ja tylko na targ!

– Obaczymy, co wieziecie, to może puścim. Z wozu!

– Przecie to widać co wiozę, nakrycia nijakiego nie ma! Na cóż mam schodzić?

– Ano właśnie, widać. – Podeszedł do nich jeszcze jeden, uśmiechnął się złośliwie. – Widać, gospodarzu – powtórzył. – Dorobicie się na targu tak, czy siak. Podajże, no, jednego trójniaczka z kąta i puścim.

– Hola! – wtrącił rozeźlony Ongus. – Nie za dobrze to by się chciało? Mało wam siedzieć na rzyciach, jeszcze bezkarnie myto ściągacie? Puście, nie zawracajcie dupy!

– Możem z dupą cały wóz zawrócić – odparował pierwszy strażnik, na hardość odpowiadając hardością. – Jak się nie podoba, będzie po waszemu. Z wozu!

– Wstrzymajże się, synku – rzekł powoli wolszebnik. – Mówisz do czarodzieja, zmierzamy właśnie na Chełmisko. Przestań pyskować, to nie zgłoszę was w kwaterze straży, przejeżdżając obok.

– Co mie tu... – sapnął tamten. – Grozicie mi? Chcecie, bym się zląkł? A może z kopyta mnie w żabę zmienisz, miast...

Nie dokończył. Jego wypowiedź zmieniała się w coś na kształt przeciągłego beknięcia, on sam zmaliał i zzieleniał. Po chwili był żabą, gramolącą się w ubiorze i częściach uzbrojenia strażnika. Płaz wylazł na wierzch i przysiadł nieruchomo. W jego oczach można było dostrzec strach i niezwyčajną dla zwierzęcia świadomość.

– Jakies jeszcze życzenia? – Ongus spojrzal po pozostałych.

Życzeń nie było. Tamci, pojękując lękliwie i wybałuszając oczy, patrzyli tylko na zakłętego towarzysza.

– Pojedziemy tedy – oznajmił czarodziej, próbując ukryć uśmiech.

– Udajcie się do Chełmiska, do tamtejszego wartownika, gdyby bycie żabą znudziło się już waszemu... kumowi.

Żaden z celników nie zatrzymał ich już więcej. Wręcz przeciwnie – cofnęli się w obawie, ustępując drogi. Rozsuwali się też gapie oglądający całą scenę zza bramy, bacząc, by gdzie nie wadzić czarownikowi piastą zbyt mocno wystającą z koła czy za długo trzymaną kozą prowadzoną na targ.

Zrozpaczony jeszcze przed paroma chwilami woźnica, spoglądając na Ongusa z mieszaniną niepokoju i podziwu, ciął lekko batem wołu i wjechali w utworzony szpaler.

Nie odzywali się jeszcze przez jakiś czas. Woźnica milczał, nie wiedząc zapewne co powiedzieć. Tymon zaś bacznie obserwował swego nauczyciela, który może nic nie mówił, ale widać było, że zamierza. Ów ostatni zmarszczył brwi w zadumie, cmoknął głośno, jak gdyby sprawdzając, czy wypowiedziane przezeń słowa wybrzmiały w odpowiednich warunkach akustycznych.

– Czarami – zaczął – nie należy się popisywać, ale jak stoi ci na drodze tępy kamień, nie ma co się bawić w udawaną skromność. Jak nie da rady zwyczajnie, można sobie dopomóc w jego przetoczeniu.

Pojechali dalej i pochłonęła ich paszcza miasta, której zęby stanowiły jakoby stojące w szeregu kamienice. Tymon zdumiał się tą gęstością i ilością budowli. Nie widział jeszcze tak ciasno ustawionych domów. Na wsi między nimi były jeszcze podwórza, a tu nie było na nic miejsca; chłop zaczął współczuć mieszkańcom grodu.

– Gdzie tu obsiewać? – Westchnął. – Z czego żyć? Zali z głodu umrzeć albo dziadować?

– Wszystko da się kupić – odparł Ongus, domyśliwszy się po chwili, o czym mówi jego uczeń. – Kramy co dzień otwarte.

– A czym płacić?
– Do roboty iść, na rzemieślnika czy gdzieś, i zarobić.
– Po mojemu, lepiej wszystko samemu robić, nie zależeć od inszego...
– Inaczej byś gadał, gdybyś w takim mieście pomieszkał... No!
– Czarodziej klepnął się w udo, uniósł z kozła. – Dzięki za podwózkę, mości gospodarzu. Stąd pójdziemy pieszo, bo my, jako rzekłem, skręcamy na Chełmisko, a wy prosto, na rynek.

Wóznica skinął głową rozochocony.

– A proszę, panowie, wedle woli! Jakbyście kiedy, znów wozu potrzebowaśwy, w drodze mnie napotkali, zapraszam z całą serdecznością!

Dwaj podróżni chwycili swe manatki i zeskoczyli z wozu, który usłużny gospodarz przed chwilą zatrzymał. Ów naraził się tym samym na pokrzykiwania i przekleństwa jadących z tyłu. Tymon i Ongus odsunęli się na ubocze, pozwalając tłumowi dalej płynąć przez grodzką arterię.

– Nosalowa. – Czarodziej obrócił się ku bocznej ulicy pnącej się na wzgórze. – A na jej końcu Chełmisko, gdzie budowle stawia się tylko w połowie...

– Niepowykańczone?

Ongus uniósł kącik ust.

– Zobaczysz. Ale nie wszystko naraz.

Chłop mruknął poirytowany.

– Pokazałbyś co, rzekł więcej, miast tylko: zobaczysz i zobaczysz. Tyleś w drodze tutaj opowiadał...

– Nie gorączkuj się, właśnie za chwilę coś ci pokażę. – Czarodziej ręką wskazał stojak z szyldem umiejscowiony obok przyulicznego pawilonu. – Dopierośmy weszli do miasta, a już marudzisz jak baba. Powinieneś się cieszyć. Mnie, gdy tu trafiłem pierwszy raz, prowadzili na powrozie. Kiedyś ci opowiem – rzekł jeszcze wolszebnik, widząc pytające spojrzenie ucznia.

Znów: kiedyś, pomyślał tylko Tymon. Nie chciało mu się strzępić języka na powtarzanie w kółko jednego.

Zamiast tego zainteresował się owym pawilonem, nad którym rozciągała się tkanina pozszywana z mniejszych, kolorowych kawałków. Pod nią ustawiono ławy z krzesłami oraz jeden szynk, którego klientelę stanowili głównie młodzieńcy odziani w różnobarwne tuniki i szaty.

Tymon przystanął zaciekawiony.

– Karczma to, czy estrada?

– O – parsknął czarodziej – powiadam ci, jak sobie popiją, rozmaite się tu wyprawiają sceny.

Ręką wskazał pusty stół z brzegu placyku otoczonego niskim wiklinowym płotkiem. Usiedli.

– No i? – zapytał Tymon, spoglądając ukradkiem na ludzi wokół.
– Czemu nie idziem prosto do celu?

– Do zachodu daleko, a myśmy się z nikim nie umawiali, nie musimy być na konkretny czas.

Chłop znów spojrział wokół.

– Tedy co to za przebierańcy?

– Bacz, by cię żaden nie usłyszał, już by cię wzywał do pojedynku za obrazę. Choć pewno większą krzywdę mógłby uczynić samemu sobie...

Tymon prychnął.

– Więc któż to taki?

– Czarodzieje, jak i my.

– Jakiś inny rodzaj chyba.

– Ano. Lepszy.

Młodzieniec prychnął ponownie, nie widząc u kolorowej zgrai niczego lepszego. Przynajmniej w wyglądzie.

– Cóż to? – Ongus zaczął wiercić się w krześle. – Czemu nikt do nas nie podchodzi? Długo mamy czekać?

Jak na zawołanie, ktoś się zbliżył. Nie karczmarz jednak, a jeden z młodych wolszebników, czego Tymon domyślił się po żółtej szacie owego. Mężczyzna miał lekko chwiejny krok, a dotarwszy do ich ławy z łoskotem oparł się na niej dłońmi.

– Czego tu chcecie? – warknął ledwo wyraźnie.

– Poprosimy dwa ciemne czepce – odparł Ongus, przyglądając się szacie tamtego. – Tutejszy specjał, bodaj najlepsze piwo, jakie piłem. A może to prosto niezmierną żądną miarą spożyta ilość zadecydowała o zamięłowaniu doń?

Tymon, do którego czarodziej kierował pytanie, pokiwał powoli głową, nie spuszczać wzroku z podchmielonego zawalidrogi. Nie mógł się doczekać dalszego przebiegu sytuacji.

– Gównu dostaniecie, nie czepce! – Młody czarodziej aż ich opluł.
– Dla ciebie, dziadu, i tego kmiota co najwyżej koryto końskie! Nie gap się!

Tymon gapił się dalej. Był przekonany, że, nawet bez Ongusa, dałby pijusowi radę.

Stary wolszebnik otarł rozbryzg plwociny z brwi.

– Przyjacielu – rzekł – chcieliśmy wypić piwo w miejscu, które jest dostępne nie tylko dla ciebie. Bądź więc łaskaw, jeśliś jest za to odpowiedzialny, usłuż nam, podaj o co proszę. Jeśli zaś nie – nie wadź, idź w pokoju.

– Ja? Służyć? Wam?! Won!

Tymon dojrzał stolik, z którego podszedł młodzieniec. Siedzący tam, wyglądający jak tęcza osobnicy, spoglądali ukradkiem na wrzeszczącego awanturnika. Widać było jednak, że, gdyby kto zapytał, żaden z nich nie przyznałby się do znajomości z nim.

Ongus westchnął.

– Patrząc na twoje odzienie wnoszę, żeś z drugiego stopnia. Zaiste, najgłupszy jest wtedy człowiek, sądząc, że umie wszystko, bo mu pokazali kawałek zakłęcia. – Ongus spojrział na pusty stół, zerknął na szynk za młodzieńcem. Widać, wołały głosić naukę, zwilżywszy przedtem usta piwem.

– Ile możesz znać formuł? Tuzin? Nie wiesz nawet jeszcze, co znaczy kreowanie czarów, bo tego uczą pod koniec trzeciego stopnia. Wracaj tedy do swojego elementarzyka, synku, a mnie nie strasz, bo jeszcze nie umiesz ocierać kóz spod nosa.

Młodzieniec wrzasnął, nie dało się jednak niczego zrozumieć.

– Ćśś – uciszył go Ongus, unosząc dłoń. Ku zdziwieniu Tymona, podziałało. – Za bardzoś rozjuszony, by słuchać po dobroci. Pozwól, że ostudzę twój zapał i pokażę, ile znaczą dla mnie twe szaty czarodzieja-szlachcica.

Pstryknął palcami.

Awanturnik momentalnie otrzeźwiał, gdy, spojrzawszy w dół, zobaczył swoje szaty przezroczyste, jakby utkane z wody, a niezakrywające kompletnie nic. Dłońmi zakrywając wstydlive miejsce, wybiegł z piwiarni, ścigany przez fale śmiechu.

– Darujcie, panowie, nieponia. – Od razu pojawił się karczmarz. – Już go tam szturchali, nawoływali do spokoju, widząc, cóż za zacna osoba do nas zawitała. Ale, widać, albo za głupi, albo wypił już nazbyt wiele. Przynajmniej uciechę nam sprawił. Podać to co zawsze? Dla towarzysza szanownego pana to samo?

Ongus skinął głową.

– Dwa czepce, dzięki.

– Kiedyś żeś mi mówił – rzekł Tymon, gdy karczmarz odszedł łać piwo – że czarami nie należy się bawić, ni popisywać. A tu: godzina nie minęła od naszego wjazdu do grodu, a już tę zasadę dwakroć nadwerzężył.

– A co by to dało, gdybym z tym, czy owym się użerał sto razy dłużej? Otóż, zamiast satysfakcji, którą zyskałem, zszargałbym sobie nerwy, a tamci, przekonani o swej świetności, z każdą kolejną chwilą coraz bardziej by się rozzuchwalali. Powiadam ci, taki kubel zimnej wody na łeb, jakim jawi się trafnie rzucone zaklęcie, potrafi sprawić więcej, niż konwencjonalne obicie mordy. Jeszcze raz dzięki. – Skinął karczmarzowi, który właśnie przyniósł piwo w drewnianych kuflach. – Zresztą, jak wspomniał pan gospodarz, ów młody już słowne upomnienie otrzymał wcześniej.

– A jużci, panie.

– Już go niejeden pouczał, że głupotę chce uczynić, zaczepiając wielkiego Ongusa. Westchnął z ulgą jeden z drugim, że tylko w tak łagodny sposób młodego potraktowałem. W książkach zawsze piszą o ludziach same poważne rzeczy, to pewnie sądzili, że surowy.

Karczmarz uśmiechnął się.

– U nas – wtrącił – zawsze pan będzie sływał z dobroci i pogody ducha.

Ongus upił łyka, nie oderwał jednak ust, przyssał się na jeszcze kilka.

– Oj, dobre – sapnął. Tymon potwierdził, kiwając głową. – Dawno nie byłem. Mówcie, karczmarzu, cóż tam na Chełmisku słyhać poza wrzaskami zuchwałych a gołych adeptów?

– Właśnie coś tam się dzieje niedobrego ostatnio. – Zapytany spochmurniał. – Radzi będą, że pan przybywasz. Jednego z tłumaczy męczy ponoć jakaś przewlekła bolączka, której nijak nie potrafią się pozbyć.

– Co też? – zdumiał się Ongus. – Wolszebnicy? Nie mogą uleczyć?

Karczmarz pokiwał głową na potwierdzenie.

– E, skoro taka przewlekła ta choroba, to kwadrans dłużej nikogo nie zabije – mruknął czarodziej. – Wypijmy w spokoju i ruszamy dalej.

– Ktoś kiedyś powiedział, że Chełmisko winno zwać się Jeżowiskiem – rzekł Ongus, pokazując uczniowi las iglic. – Wyobraź sobie, jak zdrowe

serca muszą mieć mieszkający tu czarodzieje. Muszą pokonywać najmniej tysiąc schodów dziennie!

Tymon zachwycony gapił się na budowlę. Czuł się jak w osobliwym kamiennym lesie.

– To... – zaczął – do której idziemy?

– Do tej z brzegu. Każdy przybywający pierwszy raz na Chełmisko, porażony widokiem, zawsze wybiera właśnie tę. Ustanowiono ją więc siedliskiem wartownika.

Udali się tam. Nie musieli jednak trudzić się wchodzeniem na szczyt, ani nawet do wnętrza budowli. Przed wejściem, we wnęcie w ścianie, siedział czarodziej, który, jak wyjaśnił Ongus, był właśnie pożądanym przezeń wartownikiem.

– Oczom nie wierzę! – powitał ich tamten. – Zjawia to, czy zaprawdę Seplun?

– A cóż to? – Zagadnięty roześmiał się, rozwierając ramiona.

– Człowiek nie może zjechać raz na jakiś czas do jednego z domów?

Padli sobie w objęcia.

– Dziwię się – zaczął znów wartownik – boś, na dobrą sprawę, nie tak dawno był... Nie dalej, jak pół roku temu.

– Nawet chyba krócej. – Ongus zmarszczył brwi. – Tak czy siak, przybyłem wyjaśnić kwestię z mojej ostatniej wizyty. Otóż i mój uczeń, Tymon. A to – przedstawił młodzieńcowi czarodzieja – strażnik Chełmiska, zwany Dorianem.

Zapoznani uścisnęli sobie dłonie.

– Do starych zagwozdek pojawiło się parę nowych – ciągnął Ongus – ale na ich wyjaśnienie zapewne będę musiał poczekać, prawda?

– Prawda – potwierdził ze smutkiem Dorian. – Zachorowało się staruszkowi Marielowi, a, co dziwniejsze, nie możemy zbyt wiele zrobić. Czasem tylko mu się poprawia...

– Aha, temuś taki zgnębiony... To twój nauczyciel.

Wartownik ponownie skinął głową.

– Idziemy więc się zameldować, porozmawiamy jeszcze później. Może coś tam pomożemy.

– Nie zatrzymuję was.

– Aha, jeszcze jedno... – przypomniał sobie Ongus. – Zjawia się u ciebie strażnicy bramy... Bądź łaskaw, przywróć ich koledze-żabie człowieczą postać...

Dorian spojrział nań zdumiony; nie odpowiedział nic, więc odeszli.

– Ów Mariel – zaczął Ongus – jest jednym z tak zwanych tłumaczy, czyli najwyższych w naszej hierarchii. Bez niego nie będzie można podjąć decyzji w żadnej ważnej kwestii, a taką bez wątpienia jest nasza wielomyśl. Myślę więc, że wpierw winniśmy pójść prosto do jego siedziby, być może przyczynimy się jakoś do jego ozdrowienia.

Tymon spuścił głowę w zadumie.

– A sami? – zapytał. – Nie mogę nic podjąć, zacząć robić cokolwiek?

– Chcesz powiedzieć – parsknął czarodziej – żeśmy taki kawał drogi i czasu przeszli na darmo?

– Skoro gdy nie można uzyskać pomocy, trzeba radzić samemu...

– Można, ale czasem, zamiast radzić, lepiej się poradzić. Samemu zdarza się wymyślić głupotę, którą inni są w stanie dostrzec i cię odeń odwieść. A lepszej rady, niż tu, w Chełmisku, nie ma.

– Dziwności...

– Czasem – zaczął znów Ongus po chwili milczenia – szczytem mądrości jest przyznać się do niewiedzy. Ale nie ma co zanadto dumać, bo oto i już wieża Mariela.

Przed wskazaną budowlą stało trzech czarodziejów, którzy prawili nad czymś przyciszonymi głosami. Ubrani byli, podobnie jak żacy w karczmie, w jednokolorowe odzienia; jednak ci tutaj nosili długie szaty z wymyślnymi haftami ze złotych nici. Inne też było ubarwienie, ciemniejsze niż u młodzieńców.

– Czołem, panowie! Cóż to za smętne miny? Zewsząd da się wyleźć!

Spostrzegłszy znajomego, tamci podeszli, zaczęli wymieniać gesty powitania.

– Nie bez powodu, nieszczęście trawi nasze serca. Bo oto...

– Nie kłopotz się, Sotri – przerwał magowi Ongus. – Jużemy stokroć dziś słyszeli o niemocy tłumacza z Chełmiska. Mówią o tym nawet w karczmach. Wyjaśnij nam tylko, która wersja jego dolegliwości jest prawdziwa: wyrosła mu dodatkowa para rąk, która ciągle go dusi i

podszczypuje, czy ma ów groźnego raka w krtani, co pożera każdy kęs zjadanego przezeń mięsa?

Nazwany przez Ongusa Sotrim nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Nic równie widowiskowego. To TYLKO postępująca niemoc członków. Podejrzewamy, że jeśli w dalszym ciągu nic się nie zmieni, paraliż ogarnie go całkowicie.

– Czym go leczono?

– Sporządzaliśmy dekokty – zaczął wyliczać tamten – na przyrost siły, regeneracyjne, odżywiające tkanki, próbowaliśmy ćwiczeń, pobudzaliśmy czucie, stosowaliśmy okłady i masaże z kamieni... Długo jeszcze wymieniać... Lepiej udajmy się doń, przyjrzyj się sprawie sam.

Magowie zaprowadzili przybyłych na górę. Jak zauważył Tymon, konstrukcja nie różniła się prawie niczym od tej Ongusowej w Wolszebnikach. Inny był tylko wystrój, bardziej ozdobny.

Na szczycie zastali jeszcze jednego czarodzieja, czuwającego przy łóżku ustawionym przy ścianie pod oknem. To ostatnie było zasłonięte ciemnozieloną, grubą tkaniną, gdyż chory spał.

Mężczyzna przebywający w środku cicho przywitał Ongusa. Ów zaraz po tym podszedł do leżącego. Obejrzał i obmacał ramiona, wsłuchał się w rytm oddechu, wciągnął nosem powietrze. Potem odszedł z powrotem do stojących trochę dalej czarodziei.

– Twardy sen – szepnął Ongus po chwili zamyślenia. – Żadnym nawet odruchem nie zareagował.

– Twardy, będzie jeszcze twardszy – odrzekł ze smutkiem Sotri – jeśli mu jakoś nie pomożemy.

– Członki zdają się być w porządku... Ani barwa skóry nie zmieniona, ani nie są sztywne czy zanadto wiotkie. Przyczyny, zdaje mi się, należy zatem szukać w mózgu lub w układzie czuciowym. Jak to się zaczęło? Ot tak, piorun trzasł i przestał się ruszać?

– Zaczęło się powoli. – Sotri pokręcił głową. – Z początku narzekał bodajże na zdrętwiałe stopy, parę dni po tym dokuczały też już dłonie.

– Może został otruty?

Czarodziej, chwilę temu czuwający przy chorym cmoknął. Widać było, że nie jest przekonany do pomysłu Ongusa. Odezwał się jednak dopiero po chwili milczenia.

– Nie znam trucizny, która, raz zneutralizowana w zupełności, powraca. Mariel był leczony na wiele sposobów. Parę razy już mu się poprawiało, jużesmy myśleli, że jest po wszystkim... Aż nagle... nie było, niemoc powracała.

Ongus machnął ręką.

– Nie ma co dumać i czekać dalszego rozwoju choroby – rzekł. – Jak tylko staruszek wstanie, trzeba go przenieść do lecznicy. Tam wszelkie pomoce są pod ręką, nie trzeba biegać między wieżami. Proszę, zajmijcie się tym łaskawie, ja tymczasem, wraz z Tymonem, zakwaterujemy się i zjemy coś. Nie sposób pomagać innym, gdy samemu umarło się z głodu.

Na placu trwał pojedynek, ograniczony do swego rodzaju okrągłej areny utworzonej przez tłum żaków. Tymon, nie bez uśmiechu, skojarzył różnobarwną gromadę z kuglarzami, próbującymi się w żonglowaniu lub rzucaniu w siebie stępionymi nożami. Dwóch młodzieńców mierzyło się, używając efektywniejszej broni. Strzelali ku sobie kolorowymi snopami iskier. Te, zawierające ładunki magicznych zaklęć, bardzo rzadko trafiały pojedynkujących się. Prędzej widzów z tłumu ustawionego dookoła, powodując rozmaite efekty. A to ktoś zmienił ubarwienie skóry, innemu skurczyła się ręka, już to innego oblażyły od stóp do głów pobliskie mrówki. Tymon z niejakim podziwem obserwował potyczkę, dziwiąc się jednocześnie, dlaczego nikt z kręgu nie uchyła się, ani nie ucieka.

– Grają w petardę. – To Ongus, jakoby czytając w myślach ucznia, odpowiedział zza jego pleców. – Wygrywa ten, kto pierwszy doprowadzi przeciwnika do stanu niemożności rzucania zaklęć. Z kolei stojący wokół nie mogą uciec, bronią przed wydostaniem się strzałów na zewnątrz. Takie przyjemne z pożytecznym: uodparniają się na magię, a przy tym uciecha co nie miara, gdy trafi cię czar-niespodzianka. I jak tam? Zadomowiłeś się już?

– Siedmicę bym tu siedział – zachnął się Tymon – a i tak pewno bym nie zdołał zadomowić się zupełnie.

– Zaręczam ci: wziąłbym kogokolwiek z Wolszebnik, a ciebie w szczególności, a będzie to trwało stokroć krócej niżli w przypadku mieszkańców innych siół czy grodów.

– Staruszek Mariel dochodzi do siebie. – Ongus zmienił temat po chwili milczenia. – Po zastosowaniu zasugerowanej przeze mnie kuracji zaraz

zaczęło mu się poprawiać. Jutro pewnie wróci do swej wieży, a my będziemy mogli przedstawić mu swą sprawę.

– Cóż to za cudowna kuracja? – mruknął Tymon, powracając do obserwowania grających w petardę. – Czary?

– Nie ma potężniejszego czaru od potencjału tkwiącego w naturze. Pomogła odpowiednia mieszanka ziół.

– A tamci? Nie wpadli na podobny pomysł?

– Możliwe, że nie... – Wolszebnik zawahał się. – Choć przecież wspominali, że już wcześniej mu się polepszało, a później znów popadał w niemoc. Miejmy nadzieję, że tym razem będzie inaczej...

Nie było. Ku rozczarowaniu Ongusa i zgodnie z obawami grona czarodziejów-medyków, stan Mariela pogorszył się ponownie, gdy ów opuścił lecznicę. Stary mag zdążył wrócić do swej wieży o własnych nogach i wieczorem położyć się spać, by rankiem następnego dnia nie dać rady się podnieść pod wpływem paraliżu kończyn.

– To nie jest normalna przyczyna – oświadczył wzburzony Ongus. – Pewni jesteście, że nikt go nie otruił?

– Może ktoś dodał trucizny do wody w lecznicy? – podsunął Sotri.

Czarodzieje, w podobnym, co uprzednio gronie, znów radzili nad dalszym leczeniem Mariela. Jak Tymon ponuro zauważył, cała sytuacja nie różniła się od tej sprzed paru dni, gdy wraz z Ongusem przybyli na Chelmisko. Czarodzieje radzili, jeden spał osłabiony w swoim łożu, a on, uczeń wolszebnika, wówczas czując się bardziej jak chłop, stał na uboczu i nie wtrącał się.

– A czy komukolwiek przebywającemu w lecznicy dolega coś podobnego? – pytał Ongus coraz bardziej dociekliwie i coraz bardziej poirytowany.

– Po prawdzie to nie... Ale poza Mariem leczy się obecnie tylko adeptów, a tamci mają dostęp do oddzielnego węzła wodnego...

Nauczyciel Tymona cmoknął z niezadowolaniem.

– Nie chce mi się wierzyć, że nikt inny nie próbował tamtejszej wody, chociażby medycy.

– A co z tutejszą wodą? – Sotri wskazał wieżę Mariela. – Dlaczego by nie założyć, że właśnie ta została zatruta?

– Bo, o ile truciciel nie przemknął staruszkowi pod nosem i nie wrzucił mu czego do balii w czasie kąpeli, to musiałyby zatruć całe źródło, którego wody zasilają Chełmisko, jak i kilka ulic wokół tegoż.

– Przyczyny nienaturalnej choroby należy szukać w jeszcze innym źródle. – Te słowa, ku zdziwieniu wszystkich, nawet jego samego chyba, wypowiedział Tymon.

Spojrzeli nań jak jeden mąż.

– Rzecz to wiadoma... – bąknął chłop, paradoksalnie, onieśmielony własną śmiałością. – *Gdy ból cię męczy, pośpiesz do cioty. Przegna lub przyśle na cię kłopoty.*

Obudzona na chwilę nadzieja poczęła gasnąć w oczach czarodziejów. Z pozoru mądre słowa zdawały się im teraz bełkotem wiejskiego głupka, nie będącego nawet w stanie pojąć tematu, nad którym tamci prawili.

Jednak nie Ongusowi, który raczej zarzucał sobie, że jego uczeń wpadł na ten pomysł przed nim samym.

– Po mojemu, nic, tylko musi żyje gdzieś tu ciota – oświadczył Tymon z wahaniem. – A każdy głupi wie, że dopomóc lubo zaszkodzić ona może...

– No właśnie chyba nie każdy, jak widać – mruknął Ongus.

– Cóż to za ciota? – Sotri uniósł brew.

– No... Ciota... – Chłop wzruszył ramionami. – Leśna baba... Diabła żona... Baba Jaga, wiedźma, czarownica... Jak zwał, tak zwał, wszystko zajędo. Łacno sprawdzić, zali jej to sprawka...

Wtem ruszył ku kłapie w podłodze, a potem na zewnątrz. Czarodzieje, zdumieni i milczący, ruszyli za nim.

Chłop przed wejściem do wieży rozejrzał się, jął pilnie przypatrywać się futrynie drzwi i ścianie nad nimi. Nie znalazłszy tego, czego się spodziewał, skierował wzrok ku ziemi.

– Czego właściwie szukasz? – zniecierpliwiał się jeden z czarodziejów.

Tymon nie odpowiedział. Zamiast tego przypadł do jednej z kostek bruku ułożonego w kolorową mozaikę. Chłop z satysfakcją zauważył, że płyta była przekrzywiona, ktoś wydlubał spod niej piasek. Również i on chciał podważyć kawałek brudnozielonego kamienia, ale niewiele mógł zrobić gołymi rękami.

Jeden z czarodziejów domyślił się, popędził na górę wieży chorego. Tymon przerwał kopanie do chwili, gdy tamten wrócił w końcu, niosąc ze sobą łyżkę. Chłop oglądał przez chwilę podane mu narzędzie, srebrne i bogato

zdobione roślinnymi ornamentami, i podważył płytkę. Nie było pod nią niczego niezwykłego czy interesującego – sucha, ubita, jak gdyby nigdy nie poruszana, ziemia skłoniła czarodziejów do myśli, że być może chłop podjął fałszywy trop, a przekrzywiona kostka była po prostu błędem brukarza.

Tymon pracował dalej, ku rozczarowaniu obserwujących znalazł tylko suchy patyk. Kopiający jednak rozpromienił się, wyciągnął znalezisko, podskoczył radośnie.

– Jest! Wiedźmie gusła! – Pokazał gałązkę Ongusowi, który też już zrozumiał.

– Przecież to patyk...

– A patyk! – Tymon w mig obrócił się ku Sotriemu. – Ale nie taki zwyczajny. Osnuty ów jest w trawy i ziele.

Rzeczywiście, z pozoru zwykły kawałek drewna owinięty był zielonym źdźbłem, na jednym z końców ktoś zasupłał na nim zasuszoną łodyżkę.

– Niechby był to i prosty kijek – dodał Ongus. – Niby po co miałyby kto wkładać go pod bruk?

– Nie ważne, na co to wygląda – rzekł chłop, pokazując wszystkim znalezisko. – Trzeba patrzeć, czym to może być w istocie. A mnie to się zdaje wiedźmim kletwikiem, który należy jest zniszczyć. Do tego będzie potrzebny kawałek deski i ogień.

– Co się na mnie gapicie? – obruszył się Ongus. – Ja go tego nie uczyłem.

– Jaka ma być ta deska? Co będziesz z nią robił? – zapytał Sotri. Czarodzieje, widać, postanowili spełnić życzenia chłopca. Najpewniej bardziej z ciekawości, niż innych pobudek.

– Obojętnie jaka, ona tylko do pukania.

– Może drzwi wieży?

Tymon spojrział w tamtą stronę. Jego twarz zaraz przybrała wyraz niezadowolenia.

– Nie, nie... – cmoknął. – Musi być niepomalowana...

Jeden z wolszebników znów ruszył schodami na górę domostwa chorego. Ów sam zresztą, który przyniósł chłopu łyżkę do kopania.

– A ogień?

Nieopodal wieży stał ułożony kosterek drewna na opał. Ongus podszedł doń, zabrał parę kawałków i ułożył przed Tymonem. Podpałił stosik zakłębieniem.

Tymczasem z wieży powrócił czarodziej, niosąc deskę do krojenia żywności. Chłop wziął ją w wolną rękę, podszedł do ogniska. Czując na sobie wzrok wszystkich zebranych, splunął na badył, następnie za siebie przez lewe ramię, wrzucił wykopane znaleźisko w płomień, wytarł trzykrotnie prawy but o bruk i puknął tyleż razy w niemalowaną deskę.

– I już? – Sotri wzruszył ramionami. – Taki prosty rytuał? Wystarczy?

– A mówiłem – mruknął Ongus – żeby wznowić naukę o wiedźmowych gusłach. A tak, nikt, poza chłopem, nie miał pojęcia, co było przyczyną choroby i jak temu zaradzić.

– Połowa żaków wiedziałaaby też, jak takąż chorobę spowodować...

– A druga połowa umiałaaby urok powstrzymać.

– Zdaje mi się, już odczarowane – rzekł niepewnie Tymon, wykorzystując chwilę napiętego milczenia. – Trzeba pójść na górę, może być, że...

– Aaa!

Zebrani wzdrygnęli się jak jeden mąż. Bardziej dlatego, że nie wiedzieli, skąd dochodził złowieszczy, jakby kobiecy wrzask. Wszystko wskazywało na to, że wrzeszczała rzucona w płomień gałązka.

– Oby spotkało cię co gorszego od niewładu, Mariel! – zaskrzeczał głos z płomieni. – Ciebie i twoich pomagierów, którzy ośmielili się złamać mój urok!

Usłyszawszy klątwę, Tymon powtórzył zabieg z plwaniem, szuraniem i pukaniem.

– A więc mamy dowód – uśmiechnął się Ongus – że obecny tutaj, początkujący wolszebnik i mój uczeń zarazem, celnie odgadł, odnalazł i unieszkodliwił źródło naszych zagwozdek. Leć, no, któryś na górę, sprawdźcie co z Marielem.

Poleciał ten, który wcześniej czuwał przy chorym.

Ongus podrapał się za uchem.

– Czy mi się zdawało, czy ten badył rzeczywiście gadał głosem starej Gligery?

– Mi takóŜ się zdawało. – Sotri skinął.

– Czyli mamy sprawcę, motyw też raczej jasny...

– Znaczy jaki? – wtrącił Tymon.

– A co innego może popchać babę do zemsty, jak nie zawód miłosny? Chłop uniósł brew.

– Później ci opowiem. – Ulubione powiedzonko czarodzieja coraz bardziej irytowało ucznia.

– Obudził się! Wstał! Niewład minął! – To opiekun, który zdążył sprawdzić stan chorego, wrócił właśnie na dół.

Czarodzieje i Tymon bez słowa, niespiesznie, ruszyli na górę.

– Tak samo wiszczała, jakśmy podprowadzali dziki pod jej chałupę, pamiętasz? – Ongus szturchnął Sotriego w ramię. – Aż mnie ciarki nachodzą, jak se przypomnę: "Lee, łachudry, leee!"

Idący za nim Tymon skulił się nagle, przekonany, że znów słyszy wrzeszczący badyl więdźmy.

– Trudno zapomnieć dzikowego gwizda na dupie. – Sotri zachichotał, zagłuszając tupot wielu stóp na schodach.

– Boś się zagapił, ciapo! Zaraz widać było, że stado weszło pod jej kontrolę. A ty, nie wiem, chyba chciałeś się upewnić.

– Nie patyczkowała się, ni słowa nie zamieniła, od razu dzikami poszczuła.

– Nawet jak się uczyła na Chełmisku, była podobno taka wredna, ale już koniec żartów, zobaczymy, co z Marielem.

– A żebyś wiedział, że koniec żartów – mruknął, bardziej sobie pod nosem, niż w stronę Ongusa, Sotri. – Zaszedłbyś teraz, na miejscu by zabiła...

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedział, bo doszli na górę i pochłonęła ich ogólna radość z poprawy zdrowia starego wolszebnika.

– O dziwo, już mi lepiej – stwierdził z wahaniem Mariel. – Wręcz poprawiło mi się tak nagle, że śmiem podejrzewać, iż maczaliście w tym palce...

– Znaleźliśmy źródło nawrotu choroby – oznajmił jeden z przybyłych czarodziei.

– Co więcej, zewnętrzne źródło – dodał inny.

– Jakże to?

Spojrzeli po sobie oczekując, że Ongus wyjaśni sprawę. Ów zajął się jednak czym innym. Ciekawość zwyciężyła nad chęcią pysznienia się zdolnym uczniem.

– O czym ty mówisz? – rzekł szeptem do Sotriego, odciągawszy go na stronę.

Ów westchnął.

– Gligera wstawiła sobie oczy gorgony, uprzednio wylupawszy swoje własne, odprawiła rytuał i teraz sama jest meduzą. Zabija spojrzeniem.

– A skąd, ciekawość, wiedźma wzięła oczy gorgony? Nie można sobie ich ot, tak, znaleźć skrytych pośród kasztanów. Jedyna znana mi para była przechowywana w naszym ingrediendum.

– I dalej jest. Gligera musiała znaleźć drugą parę.

– A może rozdwoiła? – Obok rozmawiających, nie wiedzieć kiedy, zjawił się Tymon. – Tak jak ty wtedy z rybami u nas w wiosce?

Ongus popatrzył nań.

– Takiś żądny chwały? – ukąsił. – Mało jedno objawienie dziennie?

Chłop z uwagą przyjrzał się swoim stopom.

– Mogła sobie rozdwoić... – wyjaśnił czarodziej. – Jednakowość właściwości nadprzyrodzonych już nie da się przenieść.

– A może rozdwoiła – nie poddawał się Tymon – później wzięła sobie te prawdziwe, a podróbki ostawiła w tym waszym ingrediendum?

– Sam bym na to wpadł...

– To akurat jest możliwe – przyznał Sotri. Niechętnie dość.

– Zakładając, że Gligera mogłaby niepostrzeżenie się tam dostać...

– Potrafiła wejść na Chełmisko – zachnął się Ongus – pod nosem tłumacza rozwalić bruk i wkopać podeń zaczarowany badył, to i na ingrediendum pewno też znalazła sposób.

Sotri spojrział ponad rozmówcami na gromadkę wokół ozdrowiałego Mariela. Jak się zdawało, pozostali wyjaśnili całą sprawę starcowi, który z zaciekawieniem zerkał na Ongusa i Tymona.

– Zresztą, co za różnica, skąd miała te oczy? – mruknął Sotri. – Miała, to miała, a teraz jest tym, kim jest, nic nie zaradzimy...

– W tej sprawie może i nic – bąknął Ongus – ale trochę wiedzy się nam przyda.

Sotri spojrział nań z ukosa.

– Niby po co?

– Po twojej minie sędzę, że wiesz doskonale, po co.

– Oszalałeś! Pójście tam do niej najpewniej oznacza śmierć!

– Być może – zgodził się Ongus. – Nie zmienia to jednak faktu, że popełniła występki, za który przydałaby się kara.

Sotri westchnął.

– Jak se chcesz...

– To co, idziesz z nami?

Czarodziej popatrzył na Ongusa i przerażonego Tymona, który już wiedział, że i on został przymuszony. Mag westchnął ponownie.

– Idę.

Słońce zbliżało się do horyzontu skrytego pośród drzew. Wiatr lekko wzruszał pożółkłe liście. Ściółka szeleściła pod stopami trzech kroczących. Gdzieś w górze darły się gęsi w kluczu. Tymon podejrzewał, że trudno byłoby mu je dojrzeć ponad gęstwiną nawet bez faktu, iż zapobiegawczo gapił się w dół.

– Jeszcze raz, dobrze zrozumiałem? – rzekł głośno, poprawiając uchwyt na niesionym przezeń, razem z Ongusem, zwierciadło, schowanym w wielkim worze. – Mamy zabić wiedźmę jej własnym spojrzeniem z pomocą tego zwierciadła?

– Ciszej, bo cię usłyszysz. – Ongus uśmiechnął się.

Chłop skulił się jeszcze bardziej. Wolszebnik zaśmiał się w głos.

– Dokładnie tak – oznajmił. – Nie mam pojęcia, na co starej Glicerze była ta przemiana, ale przynajmniej teraz mamy pretekst, by ją unieszkodliwić.

– Jak z bazyliszkiem – mruknął Tymon.

– A ty skąd znasz miejską legendę?

– Bo to mało było tych bajań na targu w Rakicicach? Zawsze to mniej nudno zacząć na czymś ucho, niżli stać jak ten głupi...

– Stamtąd właśnie pochodzisz? – zainteresował się Sotri. – Z tych Rakicic?

– Gdzież, tam samo z moim dziadkiem na targ jeździm, króliki sprzedaję.

– Króliki, powiadasz? – Czarodziej spojrział wymownie na Ongusa. Tamten wcześniej już opowiedział Sotriemu o ich przygodach z wielomyśłą powstałą z królików właśnie.

– Ano – ciągnął Tymon, uniósłszy odrobinę głowę. – W całym opolu nas znają jako przedsiębiorczych hodowców.

– I takó¿ ja znam – wtrącił Ongus – jako znawców królików i potraw z ich mięsa. Ale tylko ze słuchu ta znajomość, jakoś nigdy nic od was nie jadłem, nie częstowaliście...

– Boś rzadko w karczmie bywał, tam to co i rusz przyniosę jaki kawałek pasztetu... A tobie, za dziadzia poleceniem, przyniosłem przecie wór orzechów.

– Orzechów! Orzechów to samemu można nazbierać, mało to leszczyny w lesie rośnie?

– Nigdyś nie prosił, to i nie pomyślałem, żeby cokolwiek przynosić...

– A ja właśnie teraz proszę.

– A żebyś wiedział, jak wrócim do Wolszebnik, coś ci przyrządzę i przyniosę...

– Zaraz będziemy niedaleko – przerwał im Sotri.

– Skąd wiesz?

– Bo już widać przesiekę.

Na mniej-więcej rzut kamieniem przed nimi ciągnęła się droga. Utworzona zapewne podczas wyrębu drzew, miała jakieś dwa lub trzy sążnie szerokości.

– Patrz – westchnął Ongus – tyle lat i jeszcze nie zarosła...

– A co miała zarosnąć? – Sotri wzruszył ramionami. – Z dawien dawna tędy biegła, jeszcze długo przed osiedleniem się Gligery.

Tymon poczuł, że jego nauczyciel, niosący zwierciadło z tyłu, zwolnił kroku; chłop poszedł za jego przykładem.

– Za jej czasów to pewnie drwale boją się tu podchodzić... – zauważył czarodziej z Chełmiska.

– Sam się boję – mruknął Ongus. – Cóż więc dziwić się prostym ludziom?

Chłop zatrzymał się. Bynajmniej jednak nie z powodu czarnowidzących słów czarodziejów.

– Tam ktoś jest! – zdusił okrzyk. – Zaraz za duktem!

Na wezwanie Tymona przycupnęli.

Spojrzeli. Rzeczywiście, coś ruszało się między gęstwiną, coś zza gałęzi błyskało ku nim. Słysać było, oprócz szelestu liści, miarowe stukanie i podzwanianie jakby blaszek.

Wędrowcy nie śmieli się odezwać jeszcze przez parę chwil. Patrzyli tylko i zastanawiali się, z kim lub czym mają do czynienia.

– Widać chyba jakąś postać... – ocenił Ongus.

– To nie postać – odszepnął Sotri – ale, zdaje mi się, jakiś kawałek pnia czy kamienia...

Obaj mieli po trosze rację.

– Jeżeli to jest to, co myślę... – nauczyciel chłopa westchnął, przyjrawszy się dokładniej – to będziemy mieli niemałe kłopoty...

– Zmieniony w kamień! – wysapał Tymon.

– Nie o tym mówię – cmoknął czarodziej. – Bo to nie było wiadome, że jakiś głupi będzie chciał podejść do wiedźmy i da się zabić?

– Jak my zaraz...

– Jak dobrze popatrzysz – kontynuował Ongus, nie usłyszawszy lub udając, że nie słyszy – to zobaczysz, że coś tam błyszczy i stuka w kamienną postać. Trudno stwierdzić na pewno, co to może być, ale ja sądzę, że najpewniej ciota powywieszała odłamki luster. A skoro tak...

Westchnął.

– Znakiem tego, że nie straszne jej własne, zabójcze spojrzenie – dokończył Tymon.

Sposępnili wobec takiej perspektywy. Chłop zaczął zastanawiać się nad porzuceniem niesionego zwierciadła, bo i na co miałyby im się przydać?

– A może... – Sotri postukał palcem w nos. – To nie ona, ale ktoś inny wywiesił te odłamki, chcąc ją upolować? A ta kamienna figura, to właśnie zaklęta Gligera?

Ongus cmoknął.

– Jak dla mnie, zbyt piękny ten koncept, by był prawdziwy... Ale może i racja, musimy podejść doń i ją obejrzeć. Tylko nie wpatrujcie się ani nie rozglądajcie za bardzo... Zbliżamy się i licho wie, czy nie nadziejemy się na... Oczy...

Postanowili jeszcze przenieść zwierciadło przez dukt. Podeszli do kamiennej figury i, zgodnie z przypuszczeniami, obstukujących ją lustrzanych ułomków. Lustro odstawili, oparłszy o jedno z drzew.

– Zmartwię was, ale miałem rację. – Ongus zawahał się.

– Hm?

– Tę figurę zdążył już porosnąć mech – wyjaśnił. – Niemożliwością, żeby to była ona... Chyba Mariel nie choruje od tak dawna?

– W istocie. – Sotri zmarkotniał. Widać było, zdążył już sobie narobić nadziei. – Siedmica albo półtora, nie dłużej...

– Ale na co jej te błyskotki?

Ongus podrapał się po brodzie.

– Dość znana jest historia bazyliuszka... – zaczął z wahaniem. – Może więc chce pokazać takim jak my, że próżno dźwigamy to ogromne zwierciadło...

– Albo – Sotri uniósł palec – służą jej jako swoiste przedłużenie zasięgu. Może spoglądać w kawałki lustra, w każdym z nich wysyłać dalej swe... spojrzenie śmierci...

– A skąd to wie? Znaczy... że nic sobie nie zrobi? – zapytał niegłupio Tymon. – Jak się dowiedziała?

Ongus machnął ręką.

– Może w przyływie afektu chciała z sobą skończyć i spojrzała w zwierciadło? Zgadniesz, jak nie wiesz?

– A... – Chłop zawahał się, przeszedł parę kroków, formułując w głowie pytanie. – Jak daleko sięga? To spojrzenie?

Jego nauczyciel cmoknął.

– Jakoś nikt nie pokusił się o sprawdzenie – ukąsił. – A jeśli nawet, pewno nie będzie w stanie oznajmić ci wyników.

– Zdaje się logicznym – Sotri wzruszył ramionami – że póki wiedźma widzi oczy ofiary, póty zabija... Albo póki ofiara widzi jej oczy... Najlepiej z góry nie podnosić zbyt wroko.

– Nie to jest teraz ważne – zniecierpliwił się Ongus. – Pomyślelibyście lepiej, co my mamy, zaraza, z nią zrobić!

Tymon przekrzywił głowę, podrapał się w ucho.

– Taka wiedźma... – bąknął – kim by nie była, meduza, nie meduza, dalej człowiek...

– Odkrywcze...

Chłop podszedł do zwierciadła w worze, chwycił oburącz.

– To się przyda...

Tymon czaił się przez las z lekko opuszczonym wzrokiem; w sam raz, by nie wyróżzać w któreś z drzew, móc widzieć majaczącą pośród gęstwiny chatynkę wiedźmy, a jednocześnie nie nadziać się na śmierć w oczach tej ostatniej. Zdawało mu się, że widzi coraz więcej kamiennych figur, które

niegdyś były nie dość ostrożnymi podróżnymi. A może było to tylko mylne wrażenie, spowodowane tym, że on sam wyglądał jak jedna z tych postaci.

Czarodzieje przysposobili go do zadania, upodabniając dla niepoznaki do jednego z zaklętych w kamień. Choć jego pomysł zdawał się im banalny i dziecięco naiwny, to w końcu musieli przyznać, że w tamtej chwili był najlepszy. Tymon niekoniecznie chciał podjąć się jego wykonania, ale uznał, że skoro na Chełmisku powiedział "a", później udzielał się tam i tutaj, w lesie, to należało dopowiedzieć całe abecadło. Bał się, wiadomo, lecz tuż przed rozpoczęciem Ongus, podejrzanie uspokajającym głosem zapewnił, że nikt nie zginie. Tymon był prawie pewien, że jego nauczyciel miał w zanadru jakąś sztuczkę i, choć może naiwnie, zaufał mu.

Tamci trzymali się dalej, z odległości kilkudziesięciu sążni ubezpieczali chłopca. Młodzieniec oddalił się na tyle, że przestał słyszeć ich kroki na podeschłej ściółce. Tym bardziej więc przeraził się, usłyszawszy szelest gdzieś przed sobą, nieopodal chaty.

Zamarł.

Delikatnie uniósł głowę bacząc, by nie dojrzeć oczu nadchodzącej postaci. Zobaczył starą, małą kobietę, która, wbrew jego wyobrażeniom, nie była przygarbiona. Szła na chudych nogach, bujając się na boki. Nieproporcjonalnie szeroki korpus sprawiał wrażenie, jakby miała na sobie wiele warstw odzienia.

Chłop zauważył wiele kamiennych figur tkwiących wokół niej. Przez myśl mu przemknęło, że bez wątpienia chciała stać się tym, czym była, ale zastanawiał się, czy nie doskwierała jej samotność, i czy chciała na pewno zabić wszystkich, którzy się u niej zjawili. Zganił się po chwili, bo przecież miała swój rozum; wiedziała, jaki wyrok na siebie wydała. Trzeba nie mieć wyobraźni, by nie domyślić się, co czeka po jakimś czasie.

Tymon słusznie wywnioskował, że mnogość kamiennych figur była dlań wielce korzystna – dawało mu to szanse na pomyślniejsze ukrycie się przed wiedźmą. Miał tylko nadzieję, że ciota nie policzyła ich wszystkich; koniec końców, mając tyle czasu, różne dziwności mogły jej przyjść do głowy.

Baba krążyła niespiesznie wokół jednego z drzew, rosnącego nieopodal chałupy. Przystawała i kucała co raz, najpewniej coś zbierając. Tymon nie potrafił wyobrazić sobie dogodniejszej okazji do tego, co miał zrobić. Mimo to, bał się na tyle, by beczynn timer stać i tylko się gapić.

Po paru chwilach ruszył niezgrabnie, jak gdyby przymusem pchnięty do działania. Wpadł między kamienne figury.

Meduza usłyszała. W mig przerwała zbieranie, znieruchomiała na kuckach, odwróciła głowę. Musiał do niej dolecieć odgłos łamanej gałązki lub gniecionych liści.

Tymon skulił się, pochylił głowę, uniósł dłonie. Chciał wyglądać jak jedna z ofiar wiedźmy zamarła w przerażonej pozie.

Czarownica podniosła się, powoli zaczęła zbliżać się w stronę usłyszanego dźwięku. Chłop widział jej nogi i korpus kątem oka, z przerażenia zapewne przestałby się ruszać nawet wówczas, gdyby nie wymagała tego sytuacja. Baba podeszła na odległość tuzina sążni. Rozejrzała się. Nie ustępowała, wciąż przechadzała się i szukała źródła hałasu.

Tymon przeklął się w duchu. Od kucania zaczęły boleć go kolana, uniesione ręce domagały się, by je opuścić. Rozpaczliwie wyglądał odpowiedniej chwili do ataku.

Wiedźma tymczasem zbliżyła się jeszcze bardziej. Tymon zastanawiał się, czy już wiedziała i bawiła się z nim, czy może wciąż szukała intruza. Podeszła do jednej z figur, dosłownie dwa sążnie od chłopca. Oparła się o kamień. Obróciła głowę ku miejscu, z którego przysła.

Tymon postanowił działać. Trudno było o dogodniejszą sposobność, a wyczekiwania kolejnej mogłyby nie wytrzymać jego zdrętwiałe ręce i kolana. Sięgnął za pazuchę po szary, płócienny wór, w którym nieśli lustro. Przy tym zaklinał wiedźmę w duchu, by nie usłyszała. Ona z kolei, nie poddając się, wciąż spoglądała wokół. Najwyraźniej była słusznie przekonana o obecności intruza, najpewniej uparcie pragnęła jego śmierci. Znow odwracała się w stronę Tymona.

Nie zdążyła.

Chłop dopadł doń dwoma susami, zarzucił wór na głowę. Chciał dalej, ale wiedźma przekreśliła się, puściła podporę i upadła na plecy. Młodzieniec za nią, przygniół ją ciałem; zdany, jak sądził, tylko na siebie, zaraz podjął próby naciągnięcia płótna na ramiona i tułów cioty. Miał znaczącą przewagę – póki nie dopuścił do rzucania przezeń żadnych uroków, czarownica pozostawała przecież małą, słabą starowinką.

– Puszczaj, łajzo! – darła się. – Zabiję! Złaż ze mnie, gnoju!

– Leż, jak leżysz! – odkrzyknął chłop, dodając sobie trochę otuchy.

Ongus z Sotrim ruszyli ku nim. Byli jednak wciąż zbyt daleko, by jakkolwiek pomóc. Młodzieniec, dzielnie wytrzymując orzące mu przedramiona pazury i wierzgające nogi, skupił się przede wszystkim na zakryciu głowy staruchy. Wciąż nie oczekując pomocy, jakby zapomniawszy o istnieniu wolszebników, uniósł się lekko, trzasnął przez worek babę w gębę wierzchem dłoni. To rozsierdziło ją jeszcze bardziej, poczuł swąd podobny temu towarzyszącemu przy opalaniu świni. Włosy. Coś go parzyło w ramiona. Domyślił się, że to sprawka broniącej się wiedźmy.

Nadbiegli dwaj czarodzieje. Miny mieli nietęgą, jakby nie spodziewając się po Tymonie, że poradzi sobie z podobną sytuacją. Zaczęli mu coś czarować nad głową, bezbronna wiedźma naraz znieruchomiała. Chłop w napięciu wciąż ją przytrzymywał; docierało do niego, że starucha jest nieprzytomna. Wyprostował kark, sapiąc głośno, pociągnął nosem. Splunął obok i, jakby nigdy nic, zabrał się za naciąganie worka na ciotę. Po wszystkim wstał, chwiejnie dość, spojrzął na osłupiałych czarodziei, skinął głową.

– Bedzie – oznajmił. – Zawieźć na Chełmisko, zamknąć na cztery spusty i nigdy nie wypuszczać.

– Weź sobie przyłóż żywokostu – poradził Ongus. – Szybciej ci zniknie...

– Aj, tam, co tu okładać? – Tymon machnął ręką. – Trochę podrapane, ledwo gdzieniegdzie zaczerwienione... Ciota pewno wcześniej sama zioła zbierała, może oddała spod pazurów trochę piołunu, to i się szybko pogoi...

Czarodziej zachichotał.

– Bacz, bo jak zbierała pokrzywę, to se sam do kości porozdrapujesz...

– Miast mitrężyć, rzekłbyś, coście uradzili...

– Coś taki ciekawy? Nie wolałbyś pogadać o sprawie, dla której na Chełmisko w ogóleśmy szli?

Zapytany spojrzął na swoje przysmolone i podrapane przedramiona, pomacał ślady po paznokciach wiedźmy na szyi i policzkach.

– A wiesz, akuratno jakoś nie...

Wolszebnik westchnął głośno, przeszedł parę kroków.

Znów byli w wieży gościnnej, przydzielonej im do zamieszkania na parę dni ich pobytu. Ongusa wezwano do rozstrzygania w sprawie wiedźmy-

meduzy. Tymona ta sprawa dotyczyła tylko pośrednio, do tego wciąż nie był czarodziejem, toteż nie uwzględniono go w naradach.

– No więc?

Zapytany popatrzył w oczy ucznia. Jakby wiedział, że wyrok mu się nie spodoba.

– Na razie posiedzi w lochu; z opaską na oczach, o chlebie i wodzie.

Tymon skinął.

– A później?

– Spróbujemy ją zresocjalizować...

Chłop popatrzył magowi w oczy.

– Znaczy co?

– No... – Czarodziej westchnął jeszcze głośniej. – Postaramy się, żeby była normalna.

– Już się nie da.

– Nie oceniaj naprzód.

– Ale po co? – wybuchnął Tymon. – Robi takie rzeczy, znaczy przemienia się w takiego cudaka, a jakby tego było mało, jeszcze szkodzi klątwami! Widziałeś, żeby nasza wiedźma spod Wolszebnik robiła chociażby ułomek takiego zła?

– Wiem, że ci trudno się pogodzić – zaczął tamten. – Zważ, że nawet Mariel się zgodził.

– Też głupi...

– Przebaczył jej, a on chyba doznał od niej najwięcej krzywdy.

– Ciekawym, czy wszyscy przemienieni w kamień zgodziliby się z tobą, gdyby umieli mówić.

– Nie możesz przeboleć, co? A przecież gdyśmy do niej szli, ty sam wymyśliłeś sposób na złapanie bez zabijania.

– Boście nie wiedzieli, jak! Samiście mówili, że zna czary, że trzeba podejść ją... normalnie!

– Dajże spokój; złościsz się tylko dlatego, że cię trochę przypaliła w obronie.

– Pewnie! Bo podbiegając doń, wokół stały tylko karpy i pniaki, a do lasu przyszlismy na grzyby!

– Nie podnoś – czarodziej huknął, zamilkł, dalej ciągnął już poprzednim, spokojnym tonem – głosu. Twoje krzyki nie sprawią, że mnie

przekonasz. Zresztą, nie tylko mnie przyszło ją osądzać. Teraz oznajmiam ci, co ustanowione, dyskusje niczego nie zmieniają.

Tymon spuścił głowę, odszedł na parę kroków od okna, przy którym stał.

– Przyznała się w ogóle? Gadaliście z nią?

– Żałowała – mruknął Ongus – że udało się nam powstrzymać paraliż i ją złapać.

– Mówiłem...

– Jak to mówią: z zatrutej wody jadowite ryby.

Tymon spojrział nań.

– Jeszcze mi się nie zdarzyło – wyjaśnił stary wolszebnik – żeby zupełnie zdrowy na umyśle człowiek czerpał radość ze złośliwości. Zawsze jest inny zły człowiek albo zdarzenie, które wywołało następne z kolei zło.

Chłop już nie odpowiadał, od czasu do czasu mruczał tylko, chodząc po pokoju.

– A wiesz – Ongus uśmiechnął się – że koło wieźmy, po sąsiedzku niemal, trzymamy innego zbója?

– Co mi po zbójcu?

– Może chciałbyś go odwiedzić? Bo to nasz znajomy spod Wolszebnik.

Tymon spojrział nań, zaczynając rozumieć.

– Tak jest – skinął Ongus. – Animator ludzkich i zwierzęcych trupów oraz prawdopodobnie ojciec wielomyśli w jednej osobie. Nie sądziłeś chyba, że go wypuścimy?

– Chcesz się przejść i go odwiedzić? – zapytał czarodziej ucznia po chwili milczenia.

Ów wypuścił głośno powietrze. Pokręcił głowę.

– Innym razem, za dużo zboczenia jak na tak krótki czas – jęknął. – A pewno i tak będą mnie morzyć w sprawie tej wielomyśli, co? Kiedy to będzie? – dopytał, gdy wolszebnik skinął.

– Właściwie, kiedy chcemy... To nie sąd, przyszedliśmy tu z własnej woli i w gości... Po prawdzie – pociągnął w zamyśleniu za brodę – jakbyśmy się uparli, moglibyśmy opuścić Chełmisko teraz, bez słowa wyjaśnienia...

Przez chwilę Tymon zapragnął urzeczywistnienia tego pomysłu.

– Nie ma co – zawyrokował jednak. – Trzeba iść na nieuniknione, im szybciej, tym lepiej...

– Sprawa jest wam z grubsza znana – przemówił donośnie Ongus.
– Opowiadałem poprzednio, w czym rzecz i jak zaistniałe wydarzenia łączą się jedno z drugimi. Obecny tu ze mną, Tymon, mój uczeń, jest bodaj największym elementem całej układanki. Największym, ale bynajmniej nie ostatnim. Gdyby było inaczej, nasza wizyta tutaj byłaby wszak zbędna, a przynajmniej w takim charakterze.

Znajdowali się – a jakże – w wieży, najwyższej i najobszerniejszej w Chełmisku, w komnacie na jej szczycie. Dokładnie na środku stał ogromny, okrągły stół, mogący bez wątplenia pomieścić parę tuzinów osób. Wiele miejsc było jednak pustych, Tymon naliczył trzynastu rajców, nie licząc siebie i przemawiającego na stojąco Ongusa.

Wszyscy zebrani, wysłuchawszy krótkiej przemowy, spojrzeli na chłopca. Ów, nie wiedząc za bardzo, jaka czeka go przyszłość i jak duży nań wpływ może mieć zdanie grona czarodziejów, odwzajemniał tylko spojrzenia, starając się nie okazywać niepokoju.

– Sprawa, o której opowiadasz, owa układanka... – przemówił Mariel, wyglądając już znacznie zdrowiej – zdawała się być prawie całkowicie rozwiązana już z poprzednią twoją wizytą... Mówiłeś nam o tym młodzieńcu i o zamiarze przysposobiania go do bycia jednym z nas... Cóż takiego stało się, że musieliście przybyć ponownie? Mniemam, że, jeśli mi wolno tak to ująć, układanka się powiększyła?

– Układanka zdaje się rosnąć – sprostował Ongus. – Prawie wszystko zdołaliśmy wyjaśnić sami, ale nie możemy poradzić sobie z końcówką.

– Zwykle jest tak, że to początki są najtrudniejsze.

– Nie tutaj. Przyznasz mi rację, gdy wysłuchasz mojej opowieści.

Najstarszy z wolszebników dał głos Ongusowi, kiwając głową.

– Musieliśmy zmierzyć się z wielomyśłą, którą wytropił w swoim regionie Klemenson – zaczął czarodziej, już tym pierwszym zdaniem unosząc brwi słuchających i wywołując ogólną ekscytację. – Nim ją wytropił, a później zawezwał pomocy mojej i Tymona, zdążyła urosnąć do mocy zagrażającej całej okolicy. Obawialiśmy się wręcz, czy my sami zdołamy przeciwko niej przedsięwziąć cokolwiek. Niespodziewanie nam się udało, ale dziwniejszym jest samo źródło takiego wyniku.

Zamilkł na chwilę, nie bez satysfakcji spoglądając na wyczekujące twarze słuchających.

– Otóż planowaliśmy po prostu zbliżyć się doń, jak najdłużej zając rozmową i zniszczyć przy pomocy eksplozji magicznej, podsycanej konwencjonalnymi ładunkami wybuchowymi łowcy. By osiągnąć większy skutek, połączyłem się umysłem z Tymonem, jako że on również dysponował jakąś mocą. Poczwarą w pewnej chwili przerwała walkę, zaczęła się wycofywać wobec, jak twierdziła, swojego pana...

– Kogo?

Ongus rozłożył ręce.

– Z tym właśnie przychodzimy – rzekł. – Mam pewne podejrzenia, co się mogło stać i skąd taka reakcja wielomyśli. Liczę jednak na to, że ktoś z tutaj obecnych będzie mógł ujawnić więcej szczegółów na temat potwora, jego powstawania i zachowań.

– Zachowania, o którym opowiadasz – przemówił czarodziej siedzący na drugim miejscu po prawej od Mariela – nie spotyka się u wszystkich wielomyśli. Każda z nich ma pewien próg lojalności... Póki jednak go nie przekroczy, jest ślepo oddana swojemu stwórcy... i tym, w żyłach których wyczuwa krew tegoż...

Tymon spojrział na wolszebnika. Przemawiający na pierwszy rzut oka wyglądał na starszego od Ongusa. W ogóle chłop w ciągu ostatnich dni musiał przeobrazić swój sposób myślenia – jak dotąd uważał swojego nauczyciela za najstarszą poznaną osobę, a jego aparycja nie kazała sądzić, że może być inaczej. Na Chełmisku natomiast poznał kilku czarodziejów, również owego przed chwilą przemawiającego, którzy zdawali się być jakby sztucznie odmłodzeni, a jednocześnie w dalszym ciągu starzy.

– Innymi słowy, chcesz powiedzieć... – Ongus zastanowił się – że któryś z nas, Tymon albo ja, jest twórcą wielomyśli, lub krewniakiem tegoż? Zakładając, że wielomyśl włamała się do naszej umysłowej sieci i zaczęła uciekać z niej, zanim podłączyłem Klemensona?

Rozmówca Ongusa, ów stary wolszebnik, wypuścił głośno powietrze.

– Na to wygląda – zawyrokował. – Tym bardziej, jeśli, jak mówisz, panika wielomyśli zaczęła się dokładnie po tym, jak włamała się do waszych umysłów.

– Aha...

Wszyscy widzieli, że jakaś zagwozdzka nie daje Ongusowi spokoju; jakby miał wątpliwości, czy wtajemniczyć resztę w swoje przemyślenia.

Trwało milczenie. Mariel zezwolił na kilka chwil tej ciszy, po tym czasie chciał kontynuować, lecz wtedy właśnie odezwał się znowu Ongus.

– Jak powstaje wielomyśl? – zapytał. – Chodzi mi o wszystkie sposoby.

– Jest ich kilka – odrzekł powoli ów poprzedni przemawiający, jak się zdawało, najbardziej zaznajomiony z tematem. – Najprostszy, choć nadal wymagający niebywałej mocy, to długotrwałe karmienie zwierzęcia odpowiednio umagiczonym pokarmem. Warto zaznaczyć – uniosł palec wskazujący – że różne metody działają z odmienną skutecznością na różne rodzaje zwierząt. Na przykład, karmienie zmodyfikowaną żywnością wymaga większego wkładu w przypadku szczurów, gdyż z reguły są uodpornione na trucizny i wszelkie substancje w pokarmie. Zaczątek wielomyśli powstaje też, gdy, po prostu, z pomocą magii, modyfikuje się mózg osobnika. Najtrudniejszym znanym sposobem jest przemiana i rzucanie czarów w postaci zwierzęcej, po czym powrót do ludzkiej formy.

Ongus spojrzał wymownie na Tymona.

– Te trzy sposoby? To wszystko?

– Tego nie powiedziałem. To wszystkie znane nam sposoby.

– Mhm...

– Coś cię trapi? – ni to zapytał, ni to stwierdził Mariel.

– Ano... Gdy się zaczyna tworzyć wielomyśl... Ile czasu potrzeba, by pierwszy królik zaczął przekształcać inne?

Znawca westchnął.

– Króliki są zwierzętami o dość podatnych mózgach, co raczej przyspieszy ten proces. Ale, jak przy każdym zaklęciu, wszystko zależy od mocy czarującego...

– A tak na oko?

– Ciężko to stwierdzić, bo niezbyt często komukolwiek przychodzi do głowy tworzenie wielomyśli. Wiadomo, że zarodzie niektórych czarodziejów potrzebowały kilku tygodni na przekształcenie mózgu choćby jednego zwierzęcia z tego samego gatunku. Inne, zdolniejsze, skracają ten czas do dwóch, trzech dni.

Ongus, znów wpatrzony w Tymona, zmrużył oczy. Tamten, pod wpływem tego spojrzenia, poczuł nagle gorąco.

– A... – Czarodziej znów zawahał się przed zadaniem pytania. – Jak długo zajmie takiej... zarodzi... wpłynięcie na ludzki umysł?

Na sali rozległy się westchnienia. Tymon, wsłuchawszy się, stwierdził jednak, że były to raczej pobłażliwe, ciche podśmiewania.

– Mózg człowieka jest bezlicznie bardziej skomplikowany, niżli króliczy – wyjaśnił stary wolszebnik. – Jednemu królikowi trudno jest wpłynąć na mózg identyczny ze swoim, a aby zapanować nad ludzkim rozumem, potrzeba wielomyśli złożonej z najmniej kilku setek osobników.

– Tacyście pewni? – Tymon usłyszał cichy głos nauczyciela. Miał wrażenie, że tylko on.

Ongus przypomniał sobie moment, gdy trzymał w garści królika, w którego ciele gościł jego uczeń. Spojrzenie zwierzaka i wahanie czarodzieja, czy oby na pewno zabić tegoż...

– Czy w wielomyśli – nie poddawał się wolszebnik – może istnieć jednostka dominująca? Silniejsza, niż inne?

– To by było zaprzeczenie idei wielomyśli, gdzie wszystkie elementy dzielą myśli i, jakoby, swoje rozумы. Nie może być żadnego dominium. Przy przyłączaniu kolejnych osobników, ich mózgi rozrastają się tak, by dorównywać pozostałym.

– Już wiem chyba wszystko – oznajmił zebrany Ongus po krótkiej chwili milczenia. – Wiem to, że żaden z nas nie utworzył wielomyśli. Prawie pewne jest, że był to mój albo Tymona jakiś krewniak. Zastanawia mnie tylko jeszcze jedno...

Mariel zachichotał.

– Z tobą to tak zawsze. Miast pytać o jakąkolwiek radę, jak zwykłeś zapowiadać, zbierasz tylko wiadomości, a wyrok wydajesz sam.

– Bo to rada – Ongus wzruszył ramionami – a nie osąd.

– To rada – odparł Mariel, naśladując ton rozmówcy – a nie księgozbiór. Wypowiedziałbyś chociaż swe przemyślenia, na co wpadłeś.

– W swoim czasie... Dowiedcie się, jak to wszystko wyjaśnię...

Tłumacz znów zaśmiał się serdecznie.

– Jak zwykle.

Ongus popatrzył nań, po chwili odwrócił wzrok, oddając się swoim rozważaniom. Zresztą, zdawało się, że odleciał już patrząc na przewodniczącego zebrania.

– Zastanawiam się – wypowiedział swe myśli – czy i jaką rolę odegrał w tym wszystkim pewien człowiek...

– Ja rozumiem, lochy, wilgoć – obruszył się Ongus – ale to przecież Chełmisko, zdawałoby się, jeden z wierzchołków cywilizacji... Za mało tu wywietrzone i za bardzo śmierdzi grzybem, jak na wierzchołek...

– Jak w piwnicy – mruknął Tymon.

– Ano... A chciałbyś mieszkać w piwnicy? Aż musiałbyś przywyknąć do tego smrodu i kąpiącej gdzieś w oddali wody?

Uczeń wzruszył ramionami.

– Mówili, że wsadzili go do celi w oddzielnym lochu, nie ma tutaj nikogo innego. Jak podejrzewam, podobnie pewnie potraktowali naszą wiedźmę-meduzę. A jak nie, to powinni byli.

– A co, jeśli ktoś zapomni pozbawić go mocy? Ucieknie?

– Mógłby. Musiałby jednak wcześniej pokonać wielu czarodziejów z Chełmiska. Ale nie sądzę, by strażnicy byli na tyle głupi, by, ot, tak, zapomnieć sobie o unieszkodliwieniu takiego zakapiora.

Znów zeszli schodami, niosąc przed sobą pochodnię. Rzucane przez nią cienie tańczyły na kamiennych ścianach, a słabe światło błyszczało na ociekającej wodzie. Tymon z niejakim rozbawieniem rozmyślał o związku budowy czarodziejów z ich pozycją. Im ważniejszym się jest, tym potężniejszą ma się wieżę. Z kolei im bardziej się podpadło, do tym głębszej dziury się wrzucali.

Za schodami był korytarz długości paru sążni. Na jego ścianach jarzyły się pochodnie, ułożone w równych odstępach. Na końcu, ku zdziwieniu Tymona, nie było ciężkich, okutych drzwi, ale proste kraty, może trochę grubsze niż w jego wyobrażeniach.

Z początku nie widzieli więźnia. Ów siedział na ławce, oparty o tylną ścianę, przykuty do niej łańcuchem. Poruszył się zaraz, chyba spostrzegł, że ktoś się zbliża, doliczył się tej jednej pochodni więcej.

– Czuj duch! Znowu, co? – sarknął tamten. – Nie martwcie się, żem samotny... Nawet nie wiecie, jak mi dobrze bez was wszystkich. Ale, ale...

– Uniósł się. – Niech mnie bure suki gryzą! Czy mnie oczy nie zwodzą? Czemu zawdzięczam tę nieprzyjemność, by was oglądać, kanalie? Dalej jesteście jak ten wieśniak i cielę Maćkowe, co łązi za nim w krok?

– Nie rozgaduj się, ani nie kłopotcz. – Ongus uśmiechnął się. – My tylko pooglądać.

Tamten uniósł brwi, nie potrafił całkowicie ukryć zdumienia.

– Och, tedy nie kępujcie się, miło nam gościć was w naszym folwarku ludzkim.

– Niech se gada, na zdrowie mu – mruknął Ongus.

Gadał. Nie wsłuchiwali się i wkrótce przestał.

– To jak myślisz – bąknął cicho Tymon – czyj to krewniak? Mój, czy twój?

– Obstawiam, że twój... Ja za młodu znałem wszystkich swoich pociotków. Mieszkali w opolu i nie było księżyca, żeby nie widzieć większości z nich.

– Ja wiem? Za to jak gada... kropka w kropkę ty...

Nauczyciel spojrział nań.

– Nie czaruj. Sam dobrze wiesz, że to najpewniej twój ojciec zasiewał w każdej wiosce, w której był. Niewykluczone, że to któryś z legionu twoich braci i sióstr.

Ongus bez wątpienia wygrał tę dyskusję. Tak dobitnie, że Tymon momentalnie stracił humor. Najgorsze, że czarodziej mówił prawdę.

– Oj, nie masz się, co frasować – pocieszył ów chłopca. – Jednego psa z miotu wezmą, wytresują i będzie przyzwoity, a inny zdziczeje.

Tymon cmoknął.

– Wdzięcznym za to porównanie.

– Chodzi mi, że nie jesteś swoim ojcem ani bratem.

– A mawiają, że niedaleko pada jabłko od jabłoni...

– Jabłka z tej jabłoni są porozrzucane po całym świecie. A sama jabłoń też jest w miejscu bliżej nieznanym.

– Ej, o czym tak plotkujecie, dziewczuszki?

Dwaj rozmawiający obrócili się ku więźniowi. Nie odpowiedzieli.

– Czas chyba wracać do domu, co? Do Wolszebnik.

– Ano – westchnął Tymon. – Jeden dzień dłużej tutaj i zdurnieję.

– Z każdym razem będziesz przyzwyczajając się coraz bardziej.

– Będą kolejne razy?

– A czego się spodziewałeś? – odparł Ongus skrzywionemu uczniowi.

– Za ciekawy jesteś, żeby ci ot, tak, dać spokój. Jeszcze jednej zagadki nie

rozwiązaliśmy, a po niej pewno przyjdą kolejne. Twoja historia jeszcze się nie skończyła.